

MISJONARZ LEGENDA - O. BERNARD ŁUBIEŃSKI, REDEMPTORYSTA

*Rozważania na Nowennę Nieustanną opracowane na podstawie książki
o. Stanisława Podgórskiego CSsR „Misjonarz legenda”, Kraków 2002*

Rozważanie 1 - Ród i rodzina

Przez dziewięć tygodni spotykać się będziemy w naszym kościele, by sercu i pamięci przybliżyć postać pewnego człowieka, zakonnika i kapłana, który 10 września 1933 roku zakończył w Warszawie swoje święte i pracowite życie. Jego doczesne szczątki są złożone w kościele redemptorystów pw. św. Klemensa Hofbauera w Warszawie na Woli, zaś w Rzymie toczy się jego proces beatyfikacyjny, który jest już bardzo zaawansowany.

Życia ludzkiego nie da się zamknąć w kilku zdawkowych słowach. Tym bardziej nie da się tego zrobić z życiorysem człowieka wybitnego i świętego. Na szczęście mamy przed sobą dziewięć spotkań podczas Nieustannej Nowenny, by bliżej przyjrzeć się postaci o. Bernarda Łubieńskiego, redemptorysty, a co jeszcze ważniejsze, by przylgnąć sercem do tego zakonnika i kapłana, który o tyle tylko stanie się dla nas orędownikiem przed Bogiem, o ile zdobędzie nasze pełne zaufanie, i o ile świadomie i z przekonaniem o mocy jego wstawiennictwa zaczniemy go wzywać na pomoc w naszych wielorakich potrzebach.

By przekonać się do kogoś, trzeba go w pierwszym rzędzie dobrze poznać.

Ojca Bernarda ukazywano nam już wielokrotnie. Ale nie żałujmy trudu, by spojrzeć na niego jeszcze raz. Z nowym zainteresowaniem i z pogłębionym szacunkiem. Może akurat, przy tym ponownym spojrzeniu, nasze serce zdobędzie się na taką wiarę i ufność, które - za przyczyną naszego Sługi Bożego - wyproszą mu u Boga nie tylko upragnioną łaskę, ale nawet cud.

Opowieść o takim człowieku zaczyna się zwykle spojrzeniem na jego rodzinne gniazdo. Bo - jak mówi stare przysłowie - *niedaleko pada jabłko od jabłoni*. Zaczyna się od rodziny - to także dobre dzieci! Niestety, dziś trudno się już podpisać pod tę zasadę. Tysiące świątobliwych matek i bardzo porządnych ojców załamuje w rozpacz ręce, gdy widzi postępowanie własnych dzieci. Na taką sytuację składa się, oczywiście, wiele przyczyn, czasem i wina rodziców, popełniających kardynalne błędy w wychowaniu, albo w ogóle nie zainteresowanych losem swojego potomstwa.

Wiek XIX, wiek młodości o. Bernarda Łubieńskiego, miał nie tylko inaczej ukształtowane struktury społeczne, ale także - przynajmniej w naszym kraju - inny model wychowania rodzinnego. A model ten zdał chlubnie egzamin w trudnej, porozbiorowej sytuacji Polski.

Najbardziej znaczącą warstwą społeczną, dzięki której naród wyszedł obronną ręką z wielu prób i zagrożeń tamtych czasów, było tzw. „ziemiaństwo”.

Nazwa „ziemiaństwo” oznaczała zamożnych zazwyczaj, a wywodzących się ze starej szlachty lub magnaterii właścicieli majątków rolnych, którzy wykształceniem, kulturą, przywiązaniem do tradycji narodowej i kościelnej, ofiarnością na cele patriotyczne, a najczęściej i głęboką religijnością, chlubnie wyróżniali się wśród reszty społeczeństwa.

To właśnie ziemiaństwo przeciwstawiło się skutecznie zakusom zaborców, usiłujących zniewolić i bez reszty zawłaszczyć podbity i rozdarty pomiędzy trzech zaborców kraj. Jak sugeruje nazwa, „ziemianie” zainteresowani byli przede wszystkim utrzymaniem i rozwojem swoich posiadłości rolnych. Ale nie tylko. Wielu ziemian tamtego okresu śmiało wkroczyło w dziedzinę handlu, przemysłu, a nawet bankowych operacji pieniężnych. Pozostali oni jednak nadal wierni tym wartościom, które wszczepił w nich duch patriotyzmu oraz przynależności do Kościoła katolickiego. Niestety, nie ma lustra bez skazy. Wielu przedstawicieli ziemiaństwa, nawet z rodów tradycyjnie religijnych, dało się uwieść laicystycznym prądom i ideom, i podjęło próbę budowy

Polski bez Boga i Kościoła, wyłącznie w oparciu o zasady rozumu, kapitał i nowoczesną gospodarkę.

Jak na tym - oczywiście najogólniej tylko zarysowanym - tle prezentuje się ród i rodzina naszego bohatera, Bernarda Łubieńskiego?

Jest to ród stary, szeroko rozrośnięty i skoligacony z szeregiem znanych, arystokratycznych rodów polskich, a nawet zagranicznych. W ciągu dziejów, już od połowy XV w., nazwisko Łubieński nosiło wielu wybitnych ludzi.

Szczególnie chlubnie zapisali się Łubieńscy w dziejach porozbiorowych Polski. Gdy mowa o świeckiej gałęzi tego rodu, to sztandarowymi postaciami przodków o. Bernarda w linii prostej byli przede wszystkim jego pradziad, hrabia Feliks Łubieński (1758-1848) oraz dziadek Henryk Łubieński (1793-1883). Pierwszy to mąż stanu, polityk i współtwórca Konstytucji Trzeciego Maja. W czasie insurekcji w roku 1792 komisarz cywilno-wojskowy przy Kościuszcze. W Księstwie Warszawskim minister sprawiedliwości z woli Napoleona, reorganizator sądownictwa i twórca Szkoły Prawa. Mimo głębokiej pobożności i wierności Kościołowi, Feliks Łubieński nie ustrzegł się w życiu błędów i niekonsekwencji. Potomność przypisała mu wydanie dekretu kasacyjnego Benonitów, w wyniku którego św. Klemens wraz z towarzyszami wypędzony został z Warszawy. Feliks Łubieński był też niechlubnym współtwórcą tzw. „dekretów grudniowych” z roku 1807, które - wprowadzając w życie uwłaszczenie włościan - zamieniły ich poddaństwo na równie ciężkie jarzmo ówczesnego kapitalizmu.

Syn Feliksa, Henryk Łubieński, dziadek o. Bernarda, był czołowym finansistą i przemysłowcem. Kiedy zawiodły próby militarnego uniezależnienia Polski od rosyjskiej okupacji, podjął - wraz z innymi - próbę gospodarczej odbudowy kraju. Zabiegał o jego uprzemysłowienie. W Częstocicach pod Ostrowcem Świętokrzyskim założył cukrownię, był też współtwórcą zakładów żyrardowskich. Z jego inicjatywy rozpoczęto budowę trzeciej w Europie linii kolei żelaznej, z Warszawy do Łodzi.

Razem z ministrem Lubeckim założył Bank Polski, zostając jego prezesem i kierownikiem działu handlowego. Równocześnie utworzył własny Dom Handlowy Łubieńskich.

Rząd carski patrzył z dużym niepokojem na to gospodarcze uniezależnianie się Królestwa. W 1842 r. rewizja ksiąg rachunkowych Banku Polskiego wykazała rzekomo duże nadużycia. Henryk Łubieński został aresztowany i zesłany do Kurska w Rosji. Dom Handlowy Łubieńskich uległ konfiskacie, a była to olbrzymia fortuna, rzędu 6 milionów rubli.

Po 6 latach Henryk Łubieński wrócił z wygnania, ale nie miał już ani sił, ani ochoty do dalszej działalności gospodarczej. Osiadł w majątku Łubieńskich w Guzowie, niedaleko Warszawy.

Równie wielu, a może nawet więcej znanych ludzi, znajdziemy w wywodzącym się z tej rodziny klerze. Dwóch prymasów, pięciu biskupów i szereg niższych dostojników kościelnych. Jeden z tego szacownego grona, świątobliwy prymas Maciej Łubieński, arcybiskup gnieźnieński, zasłynął z odważnych wystąpień przeciw religijnym dysydentom swoich czasów, sprzeciwił się też małżeństwu króla Władysława IV z protestantką Elżbietą, córką Palatyna Renu, słusznie obawiając się, że tego rodzaju związek wzmocni w kraju wpływy wrogich katolicyzmowi i polskości, stronnictw. Umarł w r. 1652 i pochowany jest w kaplicy Łubieńskich w katedrze gnieźnieńskiej.

Drugi, biskup Konstanty Ireneusz Łubieński, zginął jako męczennik za wiarę, otruty w Niżnym Nowgorodzie w 1869 r., gdy wieziono go na wygnanie.

Łubieńskich ciągnęło do służby Bożej. Sam pradziadek Feliks jak potem jego wnuk Tomasz, ojciec Bernarda, nosili się z myślą wstąpienia do jezuitów. Nie wyszło. Za to już z rodzeństwa samego o. Bernarda jego brat Zygmunt został kapłanem a siostry: Zofia i Irena - zakonnice.

Oczywiście nie wszyscy w rodzie Łubieńskich świecili przykładem religijności. I tu także trafiały się czarne owce. Ale trzon rodu pozostał zdrowy i wierny Bogu.

Nic dziwnego, że patrząc na religijność tej rodziny, gubernator warszawski w latach 1883-1894, zaciekle rusyfikator i ateusz, nazwiskiem Hurko, mógł powiedzieć: *Nazwisko Łubieńskich*

jest synonimem i sztandarem katolicyzmu w kraju. Wypada chyba, by na zakończenie uwag o rodzie o. Bernarda, powiedzieć na tym miejscu przynajmniej kilka słów o jego rodzicach, choć będzie jeszcze o nich mowa w dalszych rozważaniach.

Ojciec miał na imię Tomasz. Wcześniej osierocony przez matkę, wychowywał się u babki Konstancji Raczyńskiej, a także u ciotki Pauliny Morawskiej, niewiast wykształconych, rozumnych i pobożnych. Po ukończeniu gimnazjum w Lesznie został wysłany - razem ze swym bratem Konstantym - na dalszą naukę do kolegium jezuitów we Fryburgu Szwajcarskim. Już będąc tutaj, młody Tomasz postanowił wstąpić do zakonu jezuitów. Okoliczności nie sprzyjały jednak urzeczywistnieniu tego marzenia. Tomasz pojechał na jakiś czas do Paryża, a potem wrócił do Polski, gdzie ojciec wciągnął go w administrację rodowego majątku.

Praca ta pochłonęła go wkrótce całkowicie. Pewnego razu odwiedzając posiadłość Ludwika Łempickiego w Plantcie, spotkał tam 18-letnią córkę gospodarzy dworu, Adelajdę. Przygodna znajomość zamienia się szybko w miłość. Po krótkim narzeczeństwie Adelajda została żoną Tomasza. Był rok 1842. On miał wtedy 21 lat, ona 19!

Młodzi małżonkowie zamieszkali początkowo w Warszawie, w pałacu Łubieńskich przy ulicy Królewskiej. Tu przyszedł na świat ich pierwszy syn Henryk. Wkrótce rodzina przeniosła się do Guzowa koło Żyrardowa, gdzie ich ród miał swój majątek. I to właśnie tu, w Guzowie, 9 grudnia 1846 r. ujrzał światło dzienne drugi syn Tomasza i Adelajdy, Bernard, przyszły apostoł Polski i kandydat na ołtarze. Największy wpływ na wychowanie licznej gromadki dzieci, bo małżeństwu Tomasza i Adelajdy dał ich Bóg aż dwanaścioro, miała matka. Można by długo o niej mówić. Była to kobieta mądra, stanowcza, przy tym pełna ciepła i serca. Mężnie znosiła coraz większe kłopoty materialne, które zaczęły spadać na ród Łubieńskich, represjonowany przez Moskali. Jej głęboka i pociągająca religijność, wywarła ogromny wpływ na dzieci.

I ojciec i matka doczekali rosnącej z każdym dniem sławy syna Bernarda, jako misjonarza i kaznodziei. Byli z nim w bliskich kontaktach i sami wiele skorzystali z jego usług.

Tomasz Łubieński zmarł w roku 1901, pani Adelajda 25 grudnia 1915 r., mając lat 92.

Ale zakończmy już tę, z konieczności pobieżną tylko, ale chyba interesującą opowieść o ludziach znamienitych, prawdziwie zaangażowanych w służbę ojczyźnie i Kościołowi, którymi słusznie chlubi się ród i rodzina Łubieńskich. Dołączył już do ich grona i o. Bernard. Czy przerasta on swoich przodków? Chyba nie, choć im zapewne dorównuje. Przerośnie ich w jednym tylko wypadku: jeżeli Kościół wyniesie go na ołtarze. Zależy to naturalnie od Bożych planów i od Bożej woli.

Ale chyba także i od tego, czy my zgłosimy Niebu zapotrzebowanie na tego właśnie nowego świętego i czy modlitwami swoimi nie przymusimy niejako o. Bernarda, by skuteczniej zaczął się wstawiać u Boga za nami.

Podjmiemy z większym zapałem i z większą ufnością to zadanie. Świętych otrzymują te narody, które chcą mieć świętych!

Rozważanie 2 - Panicz Bernaś

Dziecko przychodzące na świat nie jest w chwili narodzin białą kartą, na której życie jeszcze nic nie wypisało. Wiemy o tym dziś o wiele więcej, niż wiedziała przeszłość. Witamy ziemię obciążeni nielekkim plecakiem, który upchali nasi przodkowie, po części balastem swoich fizycznych braków, nałogów i win, po części pozytywnymi cechami własnego organizmu, temperamentu, zdrowia i przynajmniej niektórych, wypracowanych w życiu cech charakteru.

Jakie „zaplecze” otrzymał w spadku po swoim rodzie mały panicz Bernaś, który - jako drugi z kolei syn Tomasza Łubieńskiego i Adelajdy Łempickiej, przyszedł na świat w majątku rodziny w Guzowie pod Warszawą, 9 grudnia 1846 r.?

Ród Łubieńskich miał przede wszystkim dużą świadomość swojej pozycji społecznej i klasowej. Umiał to akcentować w codziennym życiu i wykorzystywać w kolejnych mariażach. Byli arystokratami w każdym calu.

Łubieńscy mieli ponadto wśród swoich przodków dużo ludzi zdolnych, wybitnych i z charakterem. Byli odważni, zapobiegliwi i pracowici, nie poddający się w trudnościach i gotowi podjąć w życiu każde zadanie, niezależnie od okoliczności. Ród ten cechowała także skłonność do maksymalizmu i radykalności. Ci ludzie, gdy byli wierzący - to całym sercem. Jeżeli utracili wiarę, wtedy także „szli na całego”. Wszyscy odznaczyli się głębokim patriotyzmem, a służbę krajowi uważali za swój święty obowiązek.

Byli wreszcie pogodni, towarzyscy, mieli poczucie humoru i czasem, wprost ułańską fantazję. Nie mylił się znany dominikanin, o. Jacek Woroniecki, twierdząc, że *kwę Łubieńskich zmieszana jest ze sporą dawką szampana*.

Coś ze wszystkich tych cech starego rodu Łubieńskich, cech, zarówno dodatnich, jak i ujemnych, wynikających tak z dziedzictwa biologicznego jak i typu wychowania, stało się - przynajmniej po części - wianem młodego Bernarda, gdy przyszedł na świat. Zaczęło się też w jego życiu ujawniać, już od dzieciństwa.

Temu to właśnie dzieciństwu panicza Bernasia chcemy poświęcić chwilę uwagi.

Na ogół większość autorów, pisząc żywot o Bernarda, zainteresowana jest przede wszystkim jego wiekiem dojrzałym i prowadzoną wówczas przez niego działalnością duszpastersko-misyjną. Tu właśnie - jak sądzą - manifestuje się cała jego wielkość i świętość.

My również nie przeoczmy tej imponującej batalii o Boga i o dusze ludzkie, jaką przez wiele lat, prawie bez wytchnienia, prowadził na polskiej ziemi kulawy hrabia Łubieński, gorliwy zakonnik i głośny misjonarz. Ale wielkie drzewa rosną powoli, a herosi są wpięrw dziećmi.

Jakim dzieckiem był o. Bernard? Ochrzczony w siódmym dniu po urodzeniu otrzymał imiona: Bernard, Alojzy, Restytut. Pisze o tym sam w ten sposób: *Dano mi na imię Bernard, po części dla Bernarda Potockiego, brata mojej babki Ireny, który był bezdzietnym, istniała więc nadzieja, że zapisze na mnie swój majątek Tulce w Poznańskim, po części dlatego, że matka moja, przed moim urodzeniem wczytywała się w żywot św. Bernarda, napisany przez o. Ratisbone*.

Drugie imię: „Alojzy” otrzymał nowo narodzony chłopiec prawdopodobnie ze względu na ojca chrzestnego, Ludwika Górskiego. Wprawdzie Ludwik to nie Alojzy, pamiętajmy jednak, że u Łubieńskich i w ich sferach, mówiło się często po francusku, a w tym języku Alojzy to Ludwik (Louis). Trzecie imię: „Restytut” otrzymał mały Łubieński aż z trzech racji. Wpięrw dlatego, że urodził się akurat w dniu poświęconym temu świętemu, 9 grudnia. Po drugie, imię to miało być jakby wynagrodzeniem za sprofanowany ostatnio przez rabusiów Dom Boży pod wezwaniem tego świętego, w jednym z majątków Łubieńskich. I najważniejsza racja, ojciec Bernarda zamierzał restytuować niejako w swoim synu, którego od początku widział księdzem, utratę własnego powołania do służby Bożej.

W nadanym dziecku potrójnym imieniu mieszały się więc czysto ziemskie motywy z religijnymi, ale i jedne i drugie nie stanowiły jeszcze czegoś nadzwyczajnego. W planach Bożych jednak urosły one do prawdziwie proroczych zapowiedzi.

Św. Bernard był kiedyś sławnym na całą Europę kaznodzieją. Św. Alojzy prezentował postać młodego arystokraty, który rzucił wszystko, co wielkie, by oddać się Bogu. Imię „Restytut” oznacza etymologicznie kogoś, kto przywraca do pierwotnego stanu to, co uległo zagładzie. Bernard Łubieński został głośnym kaznodzieją, jak Alojzy objął, od dziecka, służbę Bożą, a jako Restytut, zastąpił godnie ojca w kapłaństwie i w życiu zakonnym, a ponadto, to on właśnie sprowadził na powrót do Polski Zgromadzenie Redemptorystów, których banicję z Warszawy podpisał kiedyś jego pradziad, Feliks Łubieński.

Dzieci o wielkim przeznaczeniu są często świętymi dziećmi. Otacza je już w najmłodszym wieku szczególna troska Boga. Tak było i z małym Bernasiem. Za mędrcom ze Starego Testamentu

mógłby i on powtórzyć: *Dzięki szczęśliwemu losowi przypadła mi w udziale dobra dusza* (por. Mdr 8,19).

Religijnym i obywatelsko-patriotycznym wychowaniem dzieci w domu Łubieńskich - a będzie ich z czasem dwanaścioro - kierowała przede wszystkim matka, pani Adelajda, kobieta o wielkim sercu i stanowczym usposobieniu. To dzięki niej panowała tam atmosfera pogodnej a równocześnie głębokiej pobożności, której matka uczyła dzieci więcej własnym przykładem niż słowem, a którą one chłonęły całym swoim młodym i czystym sercem.

Matka wdrożyła je wpięrcw do poważnego traktowania praktyk religijnych. Żaden dzień bez pacierza, żaden tydzień bez niedzielnej Mszy św., ba, nawet żaden posiłek bez zwrócenia się do Boga.

Już bardzo wcześnie dzieci wprowadzane były w znajomość prawd wiary, w historię zbawienia oraz w dzieje Kościoła. Matka posłużyła się w tym celu książkami z domowej biblioteki, których treść i ilustracje potrafiła pięknie i interesująco objaśniać.

Panicz Bernas zapamiętał ponadto, jak to mama przy okazji własnych spowiedzi, wprowadzała i jego w arkana tego sakramentu. Zadbala przede wszystkim o to, by pierwsze wyznanie grzechów, do którego przystępował synek, odbyło się przed dobrym spowiednikiem. Bernas przeżył więc swoje spotkanie z przebaczącym mu winy Bogiem, bardzo głęboko. Napisał potem, że czuł, jak serce omal nie pęka mu z żalu za grzechy.

Jest też zasługą matki, że Pierwszą Komunię Bernasia, do której przystąpił mając lat 11, poprzedziło coś w rodzaju 2-tygodniowych rekolekcji, odprawianych pod kierunkiem kapucyna, o. Leandra, tego samego, który przygotowywał go do pierwszej spowiedzi. Nic dziwnego, że młody panicz żył coraz intensywniej tajemnicami wiary, modlitwą i zainteresowaniem dla spraw Bożych, pozostając przy tym normalnym, miłym, nawet urwisowatym chłopcem, który umiał cieszyć się życiem. Matka poświęcała mu specjalną uwagę, odkąd wyznał jej - a miał wówczas dopiero 9 lat - że pragnie zostać księdzem.

Równolegle z wychowaniem religijnym dbano bardzo w domu Łubieńskich o kształtowanie charakteru dzieci. Przyzwyczajano je do wyrzeczeń, ofiar i samozaparcia. To nie było tak: Bernas coś zobaczył, więc musi to zaraz mieć! Tupnął nóżką, a cały dom pada natychmiast na kolana, pytając z z troskaniem, czym można by uspokoić panicza? To nie co dzień nowe zabawki, nowe wdzianka, łakocie, prezenty i niespodzianki. Postawy umiaru, rezygnacji z zachcianek i poprzestawania na małym potrzebne są w życiu zawsze, ale były szczególnie ważne w sytuacji tej niepewności politycznej i przy tym prześladowaniu polskiej inteligencji pod zaborem rosyjskim, w jakich przychodziło Łubieńskim żyć. Czasy były rzeczywiście ciężkie. Wystarczy powiedzieć, że pomiędzy rokiem 1842 a 1858, czyli od ślubu pana Tomasza z panią Adelajdą z Łempickich do wyjazdu paniczów Henryka i Bernarda do Anglii, rodzina Łubieńskich była zmuszona aż ośmiokrotnie zmieniać mieszkanie, nierzadko kątem koczując u krewnych i znajomych.

Okazję do spartańskiego wychowania dzieci dawała w domu Łubieńskich także religia: wierne powstrzymywanie się od pokarmów mięsnych w piątki, surowo, po staropolsku przeżywany Wielki Post oraz drobne, dobrowolnie podejmowane, omal codzienne umartwienia i ofiarki, nie z rygoru dla rygoru, ale dla Pana Jezusa.

Rozumne, a przy tym budowane na wierze i w ciągłej łączności z Kościołem, religijno-moralne wychowanie, jakie z rodzinnego domu wyniósł panicz Bernas, zapadło głęboko w duszę chłopca. Do końca życia pozostał wierny takim świętościom, jak: modlitwa, sakrament pojednania, Eucharystia i Kościół. Owszem, stał się kiedyś ich głośnym heroldem i apostołem.

Natomiast surowy tryb życia, do którego przygotował go dom rodzinny, pozwolił mu stawić czoło przeróżnym przeciwnościom i cierpieniom, z którymi zetknął się przede wszystkim w czasie swego późniejszego posługiwania misyjnego w Polsce.

To wszystko, co otrzymał w domu rodzinnym stworzyło też - zarówno dla niego jak i dla całego jego liczego rodzeństwa - szansę na życie pogodne i bogate. Bogate nie odziedziczonym majątkiem, ale tymi skarbami, którymi darzy człowieka wiara, szacunek dla własnej rodziny wraz z

umiłowaniem ojczyzny. Czworo dzieci Tomasza i Adelajdy Łubieńskich poświęciło się całkowicie Bogu. Dwóch synów zostało kapłanami, dwie córki wstąpiły do zakonu sióstr Wizytek. Reszta zachowała wiarę i uczciwość aż do śmierci.

Jakże daleko dzisiaj naszym polskim rodzinom do tego chlubnego modelu starego, ziemiańskiego rodu Łubieńskich, na jaki tu spojrzeliśmy!

Z roku na rok wzrasta u nas liczba rodzin toksycznych. Te nie przekażą potomstwu dobrego przykładu. Pijaństwo rodziców, kłótnie i zdrady małżeńskie, opętańcza pogoń za mirażem szybkiego wzbogacenia się za wszelką cenę i kompletne zapomnienie o Bogu oraz o swoich zobowiązaniach jako chrześcijanina - oto, na co patrzą co dzień ich dzieci, i czym nasiąkają od pierwszych lat życia. Nie dziwny się, gdy wyrasta z nich pokolenie duchowo, a czasem i fizycznie chore, sfrustrowane, bezideowe, zainteresowane wyłącznie seksem i pieniędzem, pokolenie, które nie tylko nie ma szacunku dla rodzinnego domu, ale które najchętniej uciekłoby zaraz od niego, na koniec świata.

Ale i te rodziny, które jeszcze przyznają się do chrześcijaństwa i utrzymują kontakt z Kościołem, powinny postawić sobie pytanie, czy, w trosce o własne dzieci, nie należałoby w ich wychowaniu czegoś zmienić, coś dopracować, czemuś poświęcić więcej troski i czasu? Może niewielkie nawet zmiany pozwolą im doczekać się kiedyś, z grona własnych dzieci, ludzi uczciwych, wiernych Bogu i własnemu sumieniu oraz poważnie traktujących swoje rodzinne, religijne i obywatelskie obowiązki?

Nie chodzi oczywiście o to, by dziś w wychowaniu własnych dzieci kopiować ślepo wiek XIX. Nowe czasy wymagają nowych metod. I te metody są! Trzeba tylko zainteresować się nimi! Trzeba tylko zechcieć po nie sięgnąć!

Rozważanie 3 - Droga ku samodzielności

Łubieńscy chcieli dać dzieciom solidne wychowanie i wykształcenie, zarówno świeckie, jak i religijne. Wprawdzie w połowie XIX w., po wielkich krachach finansowych, ich ród nie był już aż tak bogaty, by mógł sobie pozwolić na zagraniczne kolegia, a później uniwersytety, ale coś przecież można było jeszcze zrobić. W jednym z krajów zachodnioeuropejskich, mianowicie w Anglii, Łubieńscy mieli różnych zamożnych krewnych i przyjaciół, o wypróbowanej hojności, a przy tym tak uczciwych, że bez obawy można było powierzyć im dzieci. Ponadto niektóre kolegia w tym kraju, gdzie dopiero niedawno zakończyło się bezlitosne prześladowanie katolików, żyły jeszcze gorliwością neofitów i gwarantowały poprawne wychowanie powierzonej im młodzieży, w wierności dla Boga i Kościoła.

Tego nie można było niestety powiedzieć o wielu instytucjach wychowawczych i naukowych w krajach zachodniej Europy, a także w Polsce, gdzie rusyfikacja szkół i laicyzacyjne prądy pozytywizmu czyniły zastraszające postępy. To przesądziło, że Łubieńscy postanowili kształcić swoich synów w Anglii.

Oczywiście, wysyłane za granicę dzieci miały już za sobą pewne przygotowanie intelektualne, nie mówiąc o solidnych podstawach moralnych. I jedno, i drugie otrzymywały one - zwyczajem wszystkich zamożnych, ziemiańskich rodzin - w domu.

Młodzi Łubieńscy mieli na ogół dobrych pedagogów i guwernerów. Religii uczyli ich różni, nieraz wybitni nawet duchowni, głównie zakonnicy.

Prawdopodobnie już w roku 1857 najstarszy syn Łubieńskich, Henryk, wyjechał do Anglii i umieszczony został w kolegium w Ushaw. Na Bernarda przyszła kolej rok później. Przy pożegnaniu padły wzruszające słowa ojca, które syn, mający wówczas lat 12, zapamiętał do śmierci: *Gdziekolwiek będziesz, nie zapomnij, że jesteś katolikiem, Łubieńskim i Polakiem!*

Kolegium w Ushaw, w północnej Anglii, do którego obu młodych paniczów wysłano, przyjmowało na naukę chłopców z bogatych, katolickich rodzin. Nie brakowało wśród nich i

Polaków. Ta stara szkoła o profilu gimnazjalnym zorganizowana była na wzór prawie że klasztoru. Wychowankowie zachowywali surowy rygor, którego nikt by dzisiaj nie wytrzymał. Brali udział we wspólnych modlitwach, a w niedziele i święta, ubrani w sutanny, śpiewali w kościele brewiarz. Bernard - jak sam wyznaje - nauczył się tu przede wszystkim pracowitości. Przyjęty od razu do drugiej klasy, miał sporo trudności w nauce. W grę nie wchodził brak zdolności, ale słaba znajomość języka angielskiego.

W Ushaw pogłębił także młody Łubieński swoją - wyniesioną z domu - pobożność i, nie wiedząc nawet o tym, nadał jej koloryt alfonsjański. Bowiem rektor kolegium, ks. Karol Newsham, był wielkim czcicielem świętego Alfonsa Liguori i gdzie mógł, propagował jego pisma. Wspomina Bernard, że zaraz po przybyciu do gimnazjum musiał sobie kupić „Uwielbienia Maryi” i „Nawiedzenia Najświętszego Sakramentu” autorstwa tego świętego założyciela Zgromadzenia Redemptorystów.

Ale do myśli, że on sam może kiedyś zostać redemptorystą, było Bernardowi jeszcze bardzo daleko. No cóż! Opatrzność Boża chodzi najczęściej małymi krokami!

Jak dotąd młody panicz był zdecydowany zostać kapłanem. Nie krył się z tą myślą. Wiedziała o niej rodzina. Wiedzieli przyjaciele i współkoledzy Bernarda, zarówno w Anglii, jak i w Polsce. W rodzie Łubieńskich kapłaństwo było zawsze w cenie. Pierwszym krokiem do urzeczywistnienia marzeń młodości było przyjęcie przez Bernarda tonsury. Miało to miejsce w roku 1862, gdy miał dopiero 16 lat.

Wkrótce skończył naukę w kolegium. Niestety, skończył je bardzo bolesnym przeżyciem. Nie zdał matury! Nie powiodło się! Dla młodego chłopca było to ogromne upokorzenie i bolesny cios. Opuścił szkołę bez świadectwa dojrzałości, mimo że napracował się ciężko, by je otrzymać.

Nie wszystko, co planujemy i co w życiu podjęliśmy, kończy się tak, jak byśmy chcieli. Nie wolno jednak z tego powodu łamać się i opuszczać rąk. Być może Bóg ma względem nas inne zamiary. Pozwólmy Mu je urzeczywistnić.

Był rok 1864, gdy w nienajlepszej kondycji panicz Łubieński stanął przed nieznanym: co dalej? Z kapłaństwa nie zrezygnował!

Prościej byłoby wstąpić do któregoś z zakonów. Ale Bernard, choć znał ich wiele, nie nosił się z myślą zostania zakonnikiem. Kiedy raz, bawiąc u ciotki z angielskiej rodziny Bodenhamów, usłyszał od niej propozycję, by wstąpił do zakonu, zachnął się i odpowiedział popędliwie: *Chcę zostać księdzem, a nie jakimś pasibrzuchem w klasztorze! Chcę pracować dla Pana Boga! Ciotka nie została dłużna z odpowiedzią: Zakonnik potrafi w ciągu jednego roku więcej zrobić, niż świecki ksiądz w dziesięciu latach!*

Ta odpowiedź, choć z pewnością nie całkiem obiektywna i wypowiedziana na wyrost, dała młodemu chłopakowi wiele do myślenia. Przecież spotkał już w życiu tylu zakonników, którzy mu prawdziwie imponowali! Szczególnie bliscy byli jego sercu angielscy redemptoryści, przez swoją gorliwość, prostotę i szczególne nabożeństwo do Matki Najświętszej i Eucharystii. Im więcej o tym myślał, tym wyraźniej czuł, jak topnieją w nim lody dotychczasowych uprzedzeń. W końcu po długich „za” i „przeciw” doszedł do wniosku, że droga do ołtarza pisana mu jest nie w diecezji, ale właśnie w zakonie i poprzez zakon.

Pozostał jeszcze problem: z jaką rodziną zakonną związać na zawsze swoje życie? Podobali mu się kapucyni, których znał jeszcze z Polski, podobali i jezuiti. Coraz bardziej podobali się też redemptoryści. W tym decydującym o przyszłości czasie Bernard dużo modlił się i rozmyślał. Czuł, że najrozsądniejszą rzeczą, którą może zrobić, jest zdać się całkowicie na Boga i Jemu powierzyć swoją przyszłość.

Ponieważ sprawę dobrego wyboru zakonu traktował jak najbardziej poważnie, chciał ten krok zrobić po dojrzałym namyśle. W tym celu odprawił u jezuitów swoje rekolekcje. Choć nie był zachwycony chłodem, z jakim go przyjęto, gotów był wkrótce zostać jezuitą, gdyby tylko oni zgodzili się na to. Ale ich przełożony, o. Weld, wcale nie wykazał entuzjazmu w tym kierunku. Ostatecznie poradził Bernardowi redemptorystów. *Może poznał się na mnie* - pisze o. Łubieński w

swoich „Wspomnieniach” - *i uznał, że niegodny byłem zostać jezuitą i że z takiego nicponia nie miałiby oni pociechy.*

Jak wybredna jest czasem Boża Opatrzność i jak przebiera, nim osadzi swojego wybrańca na jego właściwym miejscu.

7 września 1864 r., a więc w tym samym jeszcze roku, w którym pożegnał kolegium w Ushaw, Bernard zapukał do furty klasztoru redemptorystów w Clapham, na przedmieściu Londynu i poprosił o przyjęcie do Zgromadzenia. Tajemniczy plan Opatrzności wszedł w stadium urzeczywistnienia.

Wstępując do nowicjatu Bernard Łubieński zaczął drogę w zasadzie już prostą i pewną. Nie była ona jednak pozbawiona przeszkód, a tym bardziej usłana różami. Jak wszystkie drogi w górę! Wpierw sami redemptoryści robili trudności w przyjęciu chłopca do swego grona. Trzeba było wyjaśnić pytającym, dlaczego to młody arystokrata z Polski wybrał ich rodzinę zakonną w Anglii, a nie inny zakon, bliższy jego narodowej tradycji? Przyszło także zaliczyć brakujący egzamin z łaciny. Później poszło już wszystko stosunkowo łatwo.

Bernard ukończył nowicjat. Ale zaraz nowe rozczarowanie: nie został dopuszczony do złożenia ślubów. Powodem była wciąż ta sama obawa: *czy ten chłopiec wytrwa u nas, czy ucieknie do Polski, do której ciągnie go serce, do Polski, która w tej chwili, jak nigdy, potrzebuje swoich i skąd wciąż przychodzą wołania, by wrócił?*

Pozwolono jednak Bernardowi pozostać w klasztorze i rozpocząć studium filozofii. Wkrótce niepewności dotyczące jego osoby rozwiały się. W roku 1866 młody zakonnik złożył upragnioną profesję wieczystą. Wkrótce zaczął studium teologii i wreszcie, 29 grudnia 1870 r. otrzymał święcenia kapłańskie.

Pierwszy cel, który Bernard - jeszcze jako dziecko - wytyczył sobie do osiągnięcia w życiu, urzeczywistnił się! Był kapłanem. I to kapłanem - zakonnikiem!

Wkrótce po święceniach Bernard przydzielony został, jako wikariusz, do obsługiwanej przez redemptorystów parafii Clapham, na przedmieściu Londynu. Tu stawiał pierwsze kroki jako duszpasterz i kaznodzieja, stwierdzając z radością, że właśnie tego rodzaju praca jest prawdziwym powołaniem jego życia. Ale nie upłynęło wiele czasu, a Opatrzność zadbała o radykalną zmianę profilu jego dotychczasowych zajęć.

W roku 1873 o. Bernard powołany został na stanowisko osobistego sekretarza prowincjała, o. Roberta Coffina. Czekwały na niego teraz zupełnie inne od dotychczasowych obowiązki. Inaczej też trzeba było do nich podchodzić.

Tu już nie spontaniczność, zapał, uczuciowe zaangażowanie się w pełnione dzieło, a przy tym i satysfakcja z osiągnięć duszpasterskich, oraz wdzięczność ludzi dla swojego kapłana, ale spokój, rozważa, systematyczność, punktualność, dyskrecja i pedantyczna wierność drobiazgom, grała pierwsze skrzypce.

Ale cóż bardziej potrzebne było wrażliwemu, reagującemu na wszystko uczuciowo, niestałemu i zaczadzonemu romantyzmem Polakowi, do osiągnięcia duchowej i psychologicznej dojrzałości, jak taka właśnie szkoła?

Bernard polubił ją i był za nią wdzięczny Bogu i o. Coffinowi. Na swoim nowym stanowisku, do którego zakonne posłuszeństwo dorzuciło mu wkrótce wiele innych zajęć, pozostał o. Bernard przez 9 lat. W tym czasie dojrzała sprawa jego powrotu do Polski.

Doczekaliśmy czasów, gdy już nie tylko uprzywilejowane jednostki, ale setki i tysiące młodych ludzi wyjeżdża za granicę, dla odbycia studiów, znalezienia pracy, czy choćby tylko poznania świata. Wielka to dla nich szansa, ale i wielkie zagrożenie. Wszystko zależy od tego, jak podejść do nowych warunków, w których przyjdzie im żyć.

Mimo radykalnie zmienionej dzisiaj sytuacji politycznej, społecznej i kulturowej, może młody hrabia Bernard Łubieński mógłby dla tych - równie jak kiedyś on młodych „emigrantów” - być w tym, czy w owym wzorem?

Mówi on wszystkim: Miej żywą świadomość tego, co pragniesz w życiu osiągnąć. Znać cel, wiedzieć po co ja tu przyjechałem, to połowa sukcesu! Rzecz równie ważna to zdrowy kręgosłup moralny. Nowe otoczenie nie może cię rozhartować i odebrać ci tego, co twoje, święte, drogie, ważne i wszędzie obowiązujące! Bądź ponadto gotowy do wzięcia się za bary z losem. Nie rób wielkich oczu i nie łam się przy byle trudności. Uderzenia młotem losu niech cię hartują, a nie kruszą! Wreszcie: nie zgub Boga. Dopóki On jest przy tobie, jesteś mocny i niezwyknięty. Rozmawiaj z Nim codziennie. Musisz opanować język modlitwy tak, jak język kraju, do którego przybyłeś.

Słyszeliśmy już, jak to Tomasz Łubieński powiedział kiedyś do syna, wyjeżdżającego za granicę: *Pamiętaj, że jesteś katolikiem, Łubieńskim i Polakiem!*

Chyba coś z tego! Chyba właśnie coś z tego!

Rozważanie 4 - Do ojczyzny- dla ojczyzny

Ród Łubieńskich, to ród rdzennie polski, historycznie z Polską związany i stawiający Polskę ponad wygodne i bezpieczne życie za granicą.

Wysyłając synów Henryka i Bernarda, a potem jeszcze Rogera, na studia do Anglii, ojciec wierzył, że to ich rozstanie z rodziną i ojczyzną nie będzie trwać długo. Rzeczywiście, chłopcy spędzali początkowo każde wakacje w Polsce. Sami też byli przekonani, że po ukończeniu szkół powrócą do kraju. Ale pogarszająca się sytuacja materialna rodziny, represjonowanej przez Rosjan, a już szczególnie wybuch powstania styczniowego w 1863 r. sprawiły, że przed tym powrotem stawać zaczęło coraz więcej znaków zapytania.

Przede wszystkim Bernard, który postanowił poświęcić się Bogu w służbie kapłańskiej, nie był pewny, czy przyjęcie święceń na obczyźnie, do tego w ramach zgromadzenia zakonnego, które w Polsce jeszcze nie istnieje, nie będzie przeszkodą w powrocie do kraju. Ostatecznie tam, w Anglii, znalazł swój nowy dom i urzeczywistnienie marzeń młodości. Z czasem oswoił się do tego stopnia z faktem, który zaistniał, że powrót do ojczyzny nie wchodził już u niego w ogóle w rachubę. Ale ojciec nie dał za wygraną. Jeszcze w czasie nowicjatu syna trzykrotnie wysłał do niego list z nagłym: *Wracaj!*

Przełożeni zostawili Bernardowi wolną rękę. *Rób, jak uważasz!* Ale ten dawał za każdym razem jednakowo brzmiącą odpowiedź: *Zostaję w zakonie do śmierci!*

Nie pomogły też zabiegi stryja, bpa Konstantego Łubieńskiego z Sejn, który w liście do Bernarda uderzył w wielki dzwon, przypominając obowiązek, jaki względem swojej uciśnionej Ojczyzny ma każdy Polak. Chłopak się nie ugiął. I to nie z motywów egoistycznych: wygody czy bezpieczeństwa. Radykalizmu nauczyła go Ewangelia. Nie chciał być tym, który raz przyłożywszy rękę do pługa, ogląda się wstecz (por. Łk 9,62). Nie przeniósł też ani ojczyzny, ani rodziny, nad ślubowaną Bogu służbę (por. Mt 10,37). Po prostu nauczył się brać poważnie zobowiązania, jakie zaciągnął, wstępując do redemptorystów. Tłumaczył to w długich listach i ojcu, i stryjowi. W końcu udało mu się przekonać obojgu.

W międzyczasie jednak pojawiła się w umyśle Bernarda myśl, że przecież powrót do ojczyzny i rodzinnego domu nie zawsze musi być dla zakonnika zaprzęciem i zdradą. A gdyby tak związać go ze sprowadzeniem Zgromadzenia Redemptorystów do Polski? Jechać tam, jako jeden z nich! Zaszczepić po prostu Zgromadzenie na wielkim i mimo tylu burz, wciąż jeszcze zielonym polskim drzewie! Już kiedyś przecież jego ciotka w Anglii powiedziała mu: *Twój pradziadek podpisał dekret wygnania redemptorystów z Polski. Może tobie jest przeznaczone sprowadzić ich z powrotem do kraju?* Te słowa przejęły go wówczas ogromnie. Ale potem jakby o nich zapomniał. Teraz wróciły z nową mocą. Były olśnieniem, które Bernardowi wytyczyło nową drogę w życiu. Przeszczepić redemptorystów do Polski! Zapalił się więc do tej idei, bo w ogóle niczego nie umiał robić bez całkowitego zaangażowania się. Nigdy nie był letni!

Stanowisko, które już jako kapłan piastował, mianowicie: osobisty sekretarz prowincjała o. Roberta Coffina, dało mu ogromną możliwość i szansę. Tyle kontaktów z najwyższymi ludźmi Kościoła, Zgromadzenia, ale i wielkiej światowej polityki czy finansjery! Bernard zaczął się więc dwoić i troić. Przede wszystkim pozyskał dla swojej idei swojego przełożonego, o. Coffina. Wyżej na razie nie sięgał, bo po co? Projekt był jeszcze całkiem zielony.

Postanowił zacząć od własnej rodziny, która miała w Polsce duże możliwości. W roku 1879 pojechał więc na zjazd rodu Łubieńskich do Babicy. Przy okazji odwiedził Kraków i Lwów. Tutaj, pod zaborem austriackim, łatwiej było o fundację kościelną, niż w Królestwie Polskim. W Krakowie ks. bp Dunajewski obiecał przyjąć redemptorystów w swojej diecezji. We Lwowie poparcie przyrzekł zarówno miejscowy biskup, jak i namiestnik Galicji, Alfred Potocki. Gdy chodzi o rodzinę, to była ona w zasadzie przychylna sprowadzeniu redemptorystów do Polski, ale na razie nie zaproponowała nic konkretnego. Jeszcze najbardziej zaangażował się w całą sprawę młodszy brat Bernarda, Roger Łubieński, który niedawno powrócił z Anglii do kraju, rezygnując ze zostania kapłanem, co go początkowo kusiło.

Po zakończeniu misji „zwiadowcy” o. Bernard zreferował swojemu prowincjałowi wyniki podróży. Nie były wielkie, ale zostawiały nadzieję. Napisał także list do najwyższego przełożonego Zgromadzenia w Rzymie, w sprawie osiedlenia się redemptorystów w Polsce. Otrzymał słowa zachęty, ale na razie na tym się skończyło. Bo i kogóż do tej Polski posłać? Oprócz o. Bernarda nie było - jak dotąd - ani jednego Polaka, który by się na to pisał! Ale od czego Boża Opatrzność? Ochotnicy wkrótce się znaleźli. Do wiedeńskiej prowincji redemptorystów przypisani zostali niedawno dwaj Polacy: niejaki Józef Drobisz z Żywca, który właśnie kończył studia teologiczne oraz ks. Paweł Meissner z Głogowa. Obaj wyrazili gotowość udania się do Polski. Prowincjał wiedeński pojechał więc osobiście na rekonesans do Krakowa. Rozmawiał tu z ks. bp. Albinem Dunajewskim. Ale na tym się skończyło.

Dzieła Boże rosną powoli i nie zawsze w słońcu. Nie trzeba się tym zniechęcać! Umiejętność czekania świadczy o zaufaniu Opatrzności. I dla sprawy powrotu redemptorystów do Polski Bóg sięgnął po własne narzędzie. Stał się nim młodszy brat Bernarda, hrabia Roger Łubieński. Któregoś dnia brał on udział w polowaniu, jakie zorganizował w swoich dobrach małopolski magnat Stadnicki. Było to niedaleko Przemyśla, w miejscowości Krysowice. Stojąc na swoim myśliwskim stanowisku Roger ujrzał w pewnym momencie w pobliskim miasteczku Mościska dwa kościoły. Jeden, to kościół parafialny. Wiadomo! A drugi? Zainteresował się tym. Okazało się, że drugi kościół jest po prostu do nabycia. Zawiadomił więc o tym natychmiast tak prowincjała redemptorystów w Wiedniu, jak i swego brata Bernarda. No i tak się to zaczęło.

Dnia 14 grudnia 1881 r. podpisano umowę z miastem, do którego aktualnie należały zabudowania kościelne. Za całą posesję wraz z ogrodem zapłacili wiedeńscy redemptoryści 12 tysięcy złotych reńskich. W ten to sposób, nieoczekiwanie i jakby przypadkiem, kościół, pod wezwaniem św. Katarzyny, stara, poddominikańska posesja i przylegający do świątyni klasztor, stały się własnością Zgromadzenia, jako pierwsza placówka redemptorystów w Polsce, po św. Klemensie i krypto klasztorze o. Podgórskiego w Piotrkowicach. Teraz nadszedł czas, by o. Bernard - jako najbardziej związany z całą sprawą - przyjechał do Mościsk i rozpoczął to, do czego wezwwała go Opatrzność.

Był rok 1882, gdy po 24 latach pobytu w Anglii wyruszył on do Polski, nie z krótką tylko wizytą, ale na stałe. Podróż trwała jakiś czas, bo z konieczności wiodła przez Rzym, Neapol i Wiedeń. W Rzymie o. Bernard dwukrotnie był na audiencji u Ojca Świętego Leona XIII. Ze strony Głowy Kościoła usłyszał dużo ciepłych słów pod adresem Polaków i swoim własnym, a ponadto specjalne błogosławieństwo dla rozpoczynanego dzieła. W Castellamare pod Neapolem spotkał się z Ojcem Generałem Zgromadzenia, który - przy okazji - przeniósł go z prowincji angielskiej do austriackiej, do której początkowo należały domy Zgromadzenia Redemptorystów w Galicji.

Pobyty w Wiedniu przeciągnął się. Trzeba było załatwić wiele formalności, trzeba także było poprawić swoją polszczyznę, mocno nadwyreżoną pobytem w Anglii. Dopiero 24 stycznia 1883 r. o. Bernard przyjechał do Krakowa. Zatrzymał się tu w pałacu abp. Albina Dunajewskiego. Ten -

zresztą jego wielki przyjaciel - umożliwił mu bliższą znajomość z krajem, jego sytuacją polityczną i kościelną, stworzył mu także szansę dalszego studium języka polskiego. Bernard, który nawykł wykorzystywać każdą wolną chwilę, oddał się - przy okazji - także rozlicznym pracom duszpasterskim.

Chwilowa choroba zatrzymała go dłużej niż planował w Krakowie. Próg klasztoru mościskiego przekroczył dopiero 22 czerwca 1883 r. W międzyczasie przybył tam już o. Antoni Jedek, członek austriackiej prowincji redemptorystów (Czech), którego wiedeński prowincjał wyznaczył na towarzysza o. Bernarda i rektora nowo otwieranej placówki. On też rozpoczął tu pracę duszpasterską 31 maja 1883 r. I ta data uważana jest nie tylko za początek fundacji w Mościskach, ale i nowej obecności Zgromadzenia Redemptorystów w Polsce.

Małe zapewne, ale czy nie bolesne ukłucie szpilką, którym Opatrzność dotknęła dumę Bernarda? Nie on pierwszym! Nie jego nazwisko wciągnęli kronikarze w annały historii Zgromadzenia! A przecież tyle się w tej sprawie natrudził. Na szczęście umiał dawać sobie radę z takimi drobiazgami. A i historia oddała mu kiedyś sprawiedliwość.

W Mościskach przeżył o. Bernard 25 lat. Najowocniejszych chyba, ale i najpracowitszych lat swego życia. Dwukrotnie był tu przełożonym domu: od 1894 r. do 1903 r. i od 1912 r. do 1918 r. W sumie: 15 lat. Zawsze był zapracowanym misjonarzem i duszpasterzem.

Otwarcie klasztoru w Mościskach oznaczało wznowienie na polskiej ziemi dzieła, któremu 75 lat wcześniej św. Klemens z towarzyszami poświęcił tyle starań i trudu. Wznowienie równie chlubne, a zapewne skuteczniejsze. Na żyzną, ale zapuszczoną glebę umęczonej ojczyzny, wkroczył równie gorliwy, jak św. Klemens siewca, któremu Opatrzność dała więcej szans, niż tamtemu, a który te szanse w pełni wykorzystał, stając się w swoich czasach prawdziwym apostołem Polski.

Doczekał też o. Bernard pięknego rozwoju prowincji redemptorystów w swojej ojczyźnie. Gdy 10 września 1933 r. odchodził z ziemi po nagrodę u Pana, prowincja ta doczekała się już 5 placówek, rozsianych po całej Polsce. Liczyła wtedy 50 ojców, 34 kleryków, 40 braci, 12 nowicjuszy, 150 uczniów Małego Seminarium i 5 postulantów. Razem: 290 członków. Dzieło więc, któremu ten człowiek dał początek, rozrosło się nadspodziewanie i rośnie nadal, także w naszych czasach.

Jak dobrze byłoby, gdyby era o. Łubieńskiego, podobnie jak kiedyś era warszawskich Benonitów, doczekała się swojego, niebieskiego patrona, którego moglibyśmy czcić na ołtarzach. To naprawdę nie są zbyt wygórowane pragnienia. Klemens Hofbauer miał szczęście, że ostatnie lata życia spędził w Wiedniu i tam też zmarł. Gdyby do śmierci pozostał w Warszawie, kto wie, czy odbierałby dziś honory świętego?

Polska niestety łatwo zapomina o swoich bohaterach. Po chwilowym wybuchu entuzjazmu przestaje się nimi zajmować i obojętnie odstawia ich do lamusa historii.

Od szeregu ostatnich lat próbujemy z takiego właśnie lamusa, którego drzwi - na szczęście - jeszcze nie domknięto, wyciągnąć Sługę Bożego o. Bernarda Łubieńskiego.

W pełni zasługuje on na to, by stanąć obok św. Klemensa, a stanąć nie tylko jako szacowny wprawdzie ale martwy zabytek historyczny, lecz jako nasz niebieski orędownik i wspomożyciel przed Bogiem. Zmobilizujmy serca! Bo to one - te serca, a nie czysto prawne zabiegi ekspertów kościelnych, wypraszają u Ojca, który jest w niebie, błogosławionych i świętych na ziemskie ołtarze!

Rozważanie 5 – Misjonarz

W roku 1882 o. Bernard Łubieński pożegnał gościnną Anglię i wrócił do Polski. Do kraju gnało go serce misjonarza - młode, gorliwe, trochę „narwane”. Takie samo, jak serca tych tysięcy

zakochanych w Bogu kapłanów, którzy w ciągu dwudziestu wieków Kościoła wędrowali do wszystkich krajów świata z nowiną Ewangelii.

Polska drugiej połowy XIX w. nie była oczywiście krajem misyjnym. Ale odnowy religijnej potrzebowała bardzo. I Bernard wiedział o tym dobrze.

Początkowo nic nie wskazywało na to, że kiedyś wyrośnie z niego wielki misjonarz, prawdziwy apostoł swojej ojczyzny. Po święceniach kapłańskich, które przyjął 29 grudnia 1870 r. redemptoryści angielscy wybrali dla niego raczej papierkową robotę administracyjną, niż działalność duszpastersko-misyjną. Został więc sekretarzem prowincjała, archiwistą i kronikarzem prowincji angielskiej oraz ekonomem odpowiedzialnym za administrację dobrami i finansami całej prowincji.

Ale zanim dano mu te obowiązki, pozwolono młodemu kapłanowi posmakować działalności duszpasterskiej i charytatywnej - na posadzie wikariusza parafii Clapham, na przedmieściach Londynu. Umożliwiono mu także zdobycie teoretycznej znajomości systemu misyjnego Zgromadzenia w tzw. „drugim nowicjacie” oraz wypracowanie sobie - na wszelki wypadek - szeregu odpowiednich kazań. Bo redemptoryści - jak mówi ich prawodawstwo - wszyscy są misjonarzami, a już kapłani muszą to mieć niejako „we krwi” i być gotowi w każdej chwili podjąć się tego rodzaju zajęcia, jeżeli zażądatają tego okoliczności.

Zgodnie z tą zasadą i sam przełożony angielskiej prowincji, o. Robert Coffin, wyjeżdżał czasem na prace apostołskie. Pozwalał to robić również swojemu sekretarzowi. Od roku 1875 do 1882, a więc przez siedem lat, o. Bernard - nie zaniedbując obowiązków sekretarza, archiwisty, kronikarza i ekonomy - uczestniczył w wielu pracach misyjnych i rekolekcyjnych - i, co tu dużo mówić, polubił bardzo to zajęcie. Odpowiadało ono jak najbardziej jego sercu apostoła, jego gorliwości, młodego jeszcze przecież kapłana, oraz jego temperamentowi i zdolnościom krasomówczym.

Kiedy więc otworzyła się możliwość powrotu do Polski, Bernard Łubieński wiedział już, że pojedzie tam przede wszystkim jako misjonarz, by swoich rodaków podprowadzić bliżej do Boga. Zgodnie z tym przekonaniem, zaraz po przybyciu do Mościsk w roku 1883 rzucił się w wir zajęć duszpasterskich przy miejscowym kościele i w okolicznych parafiach. Możliwość wyjazdów misyjnych otworzyła się dopiero za jakiś czas, gdy obsada klasztoru powiększyła się o nowych członków.

Tymczasem o. Bernard i o. Jedek pracowali na miejscu. Zaczęło się tu coś w rodzaju „misji domowej”, która polegała początkowo nie tyle na głoszeniu Słowa Bożego (obaj mieli jeszcze kłopoty z językiem polskim), co na różnych nabożeństwach i szafowaniu świętych sakramentów, głównie Eucharystii i pokuty. Szczególnie ta ostatnia była tutaj ludziom potrzebna. Mościska liczyły w tamtym czasie nie więcej niż 3 tysiące mieszkańców, ale rozległa tutejsza parafia miała ich ponad 12 tysięcy. Szczególnie ci okoliczni ludzie, spragnieni pociech religijnych, ciągnęli tłumnie do Mościsk, przede wszystkim po to, by się raz wreszcie dobrze wypowiedzieć. Toteż konfesjonały ubogiego kościoła były obłożone. W roku 1884, od 17 marca do 5 maja, a więc w ciągu zaledwie 20 dni, dwaj umęczeni ojcowie: Łubieński i Jedek, przyjęli około czterech tysięcy spowiedzi! Ale też siedzieli w konfesjonałach od rana do południa i po krótkiej przerwie na obiad, do późnego wieczora. Wkrótce zaczęto w kościele mościskim głosić także kazania. Tutaj przodował o. Łubieński. Jego sława, jako kaznodziei, zaczęła ściągać nowe tłumy.

Zanotowano w kronikach, że w dni powszednie ludzie zbierali się przed kościołem już o czwartej rano. W niedziele, chcąc znaleźć miejsce w świątyni, trzeba było przyjść jeszcze wcześniej. (Gdzie te czasy!)

Oczywiście, z latami i z usprawnieniem posługi duszpasterskiej w całym kraju, ta gorliwość przygasła i musiała przygasnąć. Ale początki fundacji w Mościskach żywo przypominają „nieustanną misję” Benonitów w Warszawie, w kościółku na wiślanej skarpie. Słusznie powiedział więc - odwiedzając pewnego razu znane sobie sprzed lat Mościska - ojciec Bernarda, Tomasz

Łubieński: *Roznieciliście, ojcowie wielebni, ogień, który rozniesie się po całej Polsce. Wrócili czasy św. Klemensa.*

Polskę zaczął ten ogień podpalać dopiero od roku 1884, gdy do wspólnoty domu w Mościskach przypisany został o. Paweł Meissner (w grudniu 1883 r.), a później w 1885 r. dobry kaznodzieja, o. Józef Drobisz. Większa liczba członków pozwoliła obsłużyć nie tylko miejscowy kościół, ale i stworzyć ekipy, które ruszyły w teren, dając tym początek wielkiej działalności misyjnej redemptorystów, która wciąż trwa.

Pierwsze skrzypce w tym dziele grał o. Bernard Łubieński. Nie sądźmy jednak, że od razu szło to wszystko jak z płatka. Duchowieństwo diecezji przemyskiej, na której terenie leżały Mościska, brało początkowo ojców za Niemców i odnosiło się do nich z dystansem. Należeli bowiem do prowincji wiedeńskiej. Ponadto żaden z nich, nie wyłączając o. Bernarda, nie władał jeszcze za dobrze językiem ojczystym. *Naucźcie się tam w Mościskach po polsku* - powiedział raz w zaufaniu bp Łukasz Solecki do o. Łubieńskiego - *a wtedy używać was będziemy do pracy*. Przeszkodą był też początkowo sposób, w jaki redemptoryści urządzali misje, sposób, wzorowany na tradycji alfonsjańskiej. Proboszczowie galicyjscy przywykli bowiem od szeregu lat do innego stylu tych prac. Przekonali ich do niego jezuici, którzy - po niesławnej rabacji z roku 1846, gdy to chłopcy wyrznęli swoich panów, a często i duszpasterzy - przeorali swoimi misjami całą Galicję. Były to prace obejmujące od razu po kilka parafii, a nawet całe dekanaty. W przeciwieństwie do tych, przypominających czasem wielki, doroczny jarmark, ćwiczeń pobożnych, redemptoryści ograniczali swoje wysiłki tylko do poszczególnych parafii, co pozwalało im dotrzeć z posługą duchową do wszystkich i możliwie wszystkim pomóc. Temu celowi służyć miała zarówno specjalnie dobrana tematyka kazań, wśród których prawdy wieczne zajmowały poczesne miejsce, jak i możliwość odbycia przez wiernych dobrej spowiedzi, najczęściej „generalnej”, czyli z całego życia, a także ożywienie praktyk religijnych oraz struktur w postaci bractw, kółek czy zrzeżeń, które miały stać niejako na straży dokonanego w czasie misji nawrócenia, tak jednostek jak i całej parafii. Dość szybko i duszpasterze i wierni przekonali się o skuteczności misji, prowadzonych przez redemptorystów i otworzyli przed nimi szeroko drzwi swoich kościołów. Początkowo misje te obejmowały głównie diecezję przemyską, dopiero później tarnowską, lwowską i krakowską. Ale przyszły także zaproszenia z Poznańskiego i ze Śląska - a więc z zaboru pruskiego, oraz z Królestwa, zależnego od Rosji.

Szczególnie tam, zarówno pod zaborem pruskim, gdzie właśnie szalał „kulturkampf”, czyli walka ze wszystkim, co narodowe i katolickie, podobnie jak i w Królestwie, w którym władza carska tępiła bezlitośnie wszelkie przejawy polskości i „rzymskiej” wiary, jakakolwiek działalność apostolska kleru, szczególnie zakonnego, spoza granic zaborów, była zakazana. Tym bardziej misje, gromadzące tłumy i mające wpływ na urabianie opinii publicznej.

Do jakich kamuflaży, podstępów i sztuczek musiał się uciekać o. Łubieński, a także jego towarzysze, by móc przeprowadzić zaplanowane prace i nie być natychmiast wydalonym za granicę, ile trudności przyszło im przy tym przewycięzać, ile upokorzeń i szykan znieść, to wie tylko Bóg. Można by napisać o tym niejedną książkę. W rzeczywistości napisali ją już swoim własnym życiem redemptoryści z Galicji, którzy przez trzy dziesiątki lat, prawie co roku przekraczali kordony zaboru pruskiego i rosyjskiego, by - krócej lub dłużej - zależnie od okoliczności, ale zawsze z ogromnym pożytkiem dla wiernych, siać tam słowo Boże i przywracać spokój sumieniom. Przewodził w prowadzeniu takich prac apostolskich za granicami Galicji o. Bernard Łubieński, którego hrabiowskie nazwisko i koligacje z różnymi wysoko postawionymi rodami ułatwiały zdobycie wizy wjazdowej i otrzymanie pozwolenia na działalność apostolską. Zresztą - nie bójmy się tego powiedzieć - to jego przede wszystkim zżerała dosłownie misjonarska gorliwość i zapał.

Misjonarzem parafialnym poświęcił o. Bernard najlepsze lata swego życia. Jego apostolskie wojaże objęły całą Polskę. Przeorał nimi dziesiątki tysięcy ludzkich sumień. Przyprawiał do Chrystusowej owczarni nawet takie owce, które zdawały się być już bezpowrotnie stracone. Jakieś ogromne Boże błogosławieństwo towarzyszyło apostolskim pracom tego kulawego misjonarza.

Doświadczal on też na każdym kroku szacunku i czci ze strony słuchaczy. Ale też sam nie oszczędzał się w pracy dla Boga.

Dziś trudno nam już nawet wyobrazić sobie, ile wysiłku i poświęcenia wymagała każda misja w tamtych czasach od przeprowadzających ją misjonarzy. Podróż koleją lub furmanką do nieraz bardzo odległych miejscowości, prymityw plebanii tamtych czasów i często fatalne warunki mieszkaniowe, nie ogrzane zimą, nawet wprost lodowate kościoły, w których siedzieć przychodziło od rana do późnej nocy, nie kończące się kolejki penitentów, z których każdy pragnął się wyspowiadać z całego życia, kazania ponadgodzinne, głoszone bez wzmacniaczy i głośników, a więc konieczność natężania głosu do granic możliwości, nierzadko mimo zaziębienia i bólu gardła. Misjonarze dawać musieli z siebie wszystko! Robił to i o. Łubieński. Jego zaparcie się siebie i poświęcenie się sprawie były przysłowiowe.

Gdy chodzi o treść oraz formę kazań głoszonych przez o. Bernarda, to pokrywają się one w zasadniczych liniach ze wskazaniem założyciela redemptorystów, św. Alfonsa Liguori. A więc mocne wyakcentowanie prawd wiecznych, ale i miłosierdzia Bożego, oraz pożytku nabożeństwa do Matki Najświętszej. Forma winna być prosta, by treść nauk mógł zrozumieć nawet człowiek bez wykształcenia. Trzeba jednak tak mówić, by wzruszać i kruszyć słuchaczy. O. Łubieński wiedział z doświadczenia, że Polaków nie tyle trzeba przekonywać do poddania umysłu prawdom religii, co łamać ich upór i niekonsekwencję w życiu i godzenie wiary z grzechem. To też zasłynął jako kaznodzieja - młot! Na jego misjach strzelano z najcięższych dział.

Grzmiały surmy Sądu Ostatecznego, a piekło - które ten zakonnik malował przed oczami słuchaczy - przerastało w swojej grozie najśmielsze wizje Dantego. Ale też nikt wymowniej niż on nie umiał ukazywać cierpiącego za nasze grzechy Zbawiciela, nikt żarliwiej niż ten kulawy hrabia nie schylał czoła przed Najświętszym Sakramentem, nikt nie miał czulszych słów dla Maryi i nie budził w ludzkich sercach większej ufności do Niej, niż ten Jej pokorny sługa.

Zapewne współczesny teolog, wchodzący w świat nadprzyrodzony bardziej rozumem niż wiarą, miałby poważne trudności w podpisaniu się pod obrazami nieba czy piekła, którymi o. Łubieński wzruszał i rzucał na kolana swoich słuchaczy. Ale sądzę, że choć posługiwał się on w swoim przepowiadaniu dość stereotypową i nawet na tamte czasy zbyt już archaiczną kliszą wierzeniową, to nie robił tego po to, byśmy musieli brać jego wypowiedzi dosłownie. Jego zamiarem było wstrząsnąć słuchaczem, ukazując mu niesłuchanie poważny realizm prawd wiecznych. Tym bardziej, że prawdy te czekają na nas nie gdzieś daleko, w niewymierzalnej przyszłości. One współistnieją z naszym życiem, otaczają nas ze wszystkich stron, są tuż, tuż, za cieniutką ścianą doczesności, która prysnąć może w każdej chwili, zanurzając człowieka w nieodwracalną rzeczywistość wieczności. A że ten kaznodzieja wierzył w to, co głosi i żył zgodnie z tym, czego nauczał, jego przepowiadanie miało niesłuchaną skuteczność.

Ówczesna Polska przelała na misjach o. Bernarda rzeki łez w żalu za grzechy i z miłości ku Jezusowi. Tysiące ludzi było zachwyconych tym, co słyszeli, tysiące znalazło spokój sumienia po spowiedzi u o. Bernarda. Dokonało się mnóstwo głośnych, spektakularnych wręcz cudownych nawróceń.

Misjom parafialnym nie żałował o. Łubieński ani czasu, ani trudu. Naliczono tych misji 245, każda trwająca co najmniej 8 dni, do tego 58 renowacji. A przecież misje parafialne to wcale nie jedyna forma duszpasterskiej aktywności tego niezmordowanego człowieka. Ma on ponadto na swoim koncie 267 serii kilkudniowych rekolekcji parafialnych i stanowych, dla różnych warstw społecznych, prac czasem trudniejszych od misji, bo przeprowadzanych w pojedynkę.

Gdy do tej liczby dodamy 259 serii rekolekcji zamkniętych dla kapłanów i kleryków, 149 serii ćwiczeń duchownych dla osób zakonnych i 100 serii dla mniejszych grup lub pojedynczych osób, to otrzymamy imponującą cyfrę: 1078 mniejszych lub większych, zawsze trudnych i odpowiedzialnych prac apostoelskich, które do roku 1930 przeprowadził zakonnik kaleka, do tego często zapadający na zdrowiu. A przecież wyliczenie nie jest pełne. Wypada dodać do tego dziesiątki, a może i setki kazań, wygłoszonych w kościołach Zgromadzenia w: Mościskach,

Krakowie i Warszawie oraz w różnych kościołach Polski i poza Polską, w kaplicach seminaryjnych i zakonnych, a ponadto te niekończące się godziny poświęcone spowiadaniu tych, co ciągle oblegali jego konfesjonał. Tytan pracy!

Nie zapominajmy także, że będąc 15 lat przełożonym klasztoru w Mościskach i współtworząc nowe placówki Zgromadzenia w Tuchowie, Krakowie i Warszawie, musiał dodatkowo poświęcić wiele godzin zajęciom administracyjnym. A przecież znalazł jeszcze czas, by chwycić za pióro i pozostawić nam w spuściźnie szereg cennych pozycji typu kronikarskiego, 5 życiorysów świętych lub wybitnych redemptorystów oraz historię obrazu Matki Bożej Nieustającej Pomocy, nie licząc różnych artykułów, publikowanych w czasopiśmie. Aż wstyd spojrzeć na siebie!

Wstyd postawić obok tego zakonnika własne wykorzystanie otrzymanego od Boga czasu! Żyjemy w społeczeństwie, które ubóstwiło odpoczynek. Praca - owszem - jako przerywnik w nieróbstwie, bo może byłoby za nudno. A życie ma być zabawą, pogonią za możliwie największą sumą przyjemności. Więc świat się bawi, a my z nim. Harują tylko ci przegrani, z pustą kieszenią! Ale harował ciężko i hrabia Łubieński. Pracoholik? Pomyłony idealista, który sądził, że nawróci Polskę i świat? Hobbysta, kolekcjonujący sukcesy na ambonie?

Oczywiście nic z tych rzeczy. To był człowiek jak najbardziej normalny i trzeźwy. Tyle, że on żył tym, w co wierzył. I chciał - może czasem nieudolnie, jak na nasz gust, może czasem zbyt natarczywie, ale zawsze szczerze i z serca - przybliżyć te wartości wszystkim, których kochał. Po to zabierał głos na ambonie, po to godzinami męczył się w konfesjonale, po to przekuśtykał o lasce całą Polskę, by nam bliżej było do Boga i do naszych wiecznych przeznaczeń! Wiedział, że na urzeczywistnienie tych marzeń nie starczy mu ani sił, ani nawet życia, ale to go nie zniechęcało. Robił, co mógł. Ale robił - a nie powtarzał tylko, że dobrze byłoby coś zrobić! I do tego swojego, misjonarskiego: *rób coś, bo czas ucieka, bo wieczność czeka*, zaprasza także dziś każdego z nas.

Rozważanie 6 – Bolesny dar krzyża

Tego z początku nikt się nie spodziewał. O. Bernard jako młody chłopak był zdrowy, wyrosnięty, prosty jak świeca, pełen życia i energii. Jednak już wtedy, gdy jako trzynastoletni młodzieniec spędzał wakacje z rodziną nad morzem w Kołobrzegu zaczął narzekać na bóle reumatyczne. Rodzice wzięli sprawę poważnie i zalecili synowi, by - po powrocie do Anglii - poszedł do lekarza. Zrobił to, ale ten zlekceważył sprawę, przypisując pojawiające się co jakiś czas bóle procesowi rozwoju organizmu.

Zimą 1871 r. o. Łubieński zaraz po otrzymaniu święceń kapłańskich, zapadł poważnie na zdrowiu. Z pewnością przeziębził się, ale odezwały się również na nowo bóle reumatyczne. Chory ledwo mógł wstać z łóżka. Mimo to codziennie odprawiał Mszę św. w kaplicy infirmaryjnej. Już wtedy doszło w nim do głosu to, co stało się później zasadą całego jego życia: *żadnej taryfy ulgowej dla siebie!*

Mówią autorzy jego życiorysów, że w czasie tej poprymicyjnej choroby, młody neoprezbiter zaczął się poważnie zastanawiać nad tym, czy przypadkiem Bóg nie powiązał jego kapłaństwa z krzyżem? Chyba po powrocie do zdrowia zapomniał jednak o tych wieszczych przecuciach.

Następny sygnał ostrzegawczy ze strony organizmu odezwał się dopiero w roku 1883, gdy 37-letni o. Bernard Łubieński w drodze do Mościsk zatrzymał się w Krakowie. Znowu jakieś dolegliwości zmusiły go do pozostania tu dłużej, niż planował. Tym razem on sam zbagatelizował pukającą do organizmu chorobę. Wołała go przecież pierwsza w Polsce placówka Zgromadzenia Redemptorystów, która wyrosła z jego zabiegów i trudu. W Mościskach rzucił się od razu w wir zajęć. A było ich wiele. By im wszystkim poddać, trzeba by nie tylko heroicznej gorliwości, ale i prawdziwie „końskiego” zdrowia! We znaki dawały się przede wszystkim tamtejsze zimy, jakże różne od łagodnych zim w Anglii. Kościół, w którym ojcowie godzinami przesiadywali w konfesjonałach, nie był oczywiście ogrzewany; podobnie jak zimne, wilgotne, prymitywne pokoje mieszkalne (przynajmniej z początku). Na ścianach srebrzył się szron. W miednicach zamarała

woda. Odzienie było ubogie i nie przystosowane do surowości klimatu. Skłonny do przeziębień o. Łubieński odczuwał to w dwójnasób.

Do najgorszego doszło w czasie surowej zimy 1885 r., a więc w niecałe dwa lata po jego przybyciu do Mościsk. O. Bernard zapadł chyba na grypę z powikłaniami, ale nie mógł jej przeleżeć w łóżku, ponieważ akurat rozpoczął swoje 10-dniowe rekolekcje. W trzecim dniu tych ćwiczeń duchowych osłabiony organizm odmówił posłuszeństwa. Chory stracił przytomność i nie odzyskał jej aż dopiero po dwóch tygodniach. Nie oznaczało to jednak wcale powrotu do zdrowia. W nocy z 20 na 21 stycznia stan zdrowia o. Łubieńskiego pogorszył się do tego stopnia, że stracono nadzieję na utrzymanie go przy życiu. Otrzymał ostatnie namaszczenie - jak wówczas nazywano ten sakrament - i pożegnał się ze współbraćmi.

Całe Mościska - na kolanach - szturmowały niebo o wyzdrowienie swojego kapłana. I chyba zostały wysłuchane. Chory przewyciężył kryzys i zaczął powracać do zdrowia. Po sześciu tygodniach opuściła go gorączka i lekarz pozwolił mu przyzwyczajając się powoli do chodzenia. Wszystko było więc na najlepszej drodze. Wtedy jednak wydarzyło się to, czego najmniej oczekiwano. Przy którejś z prób powstania z łóżka, chory stracił nagle siły. *Atak paraliżu, dotykający cały organizm* - taką przynajmniej diagnozę postawili ówczesni lekarze. O. Bernard nie mógł poruszyć ani ręką ani nogą. Wydawało się, że odtąd będzie wymagał ciągłej opieki i pozostanie kaleką na całe życie, niezdolnym do żadnej pracy!

Jak zagadkowym jest Pan Bóg w swoich pociągnięciach! Lata całe przygotowywał o. Łubieńskiego do głoszenia Dobrej Nowiny. Posłał go potem na wyznaczone pole pracy. I kiedy ten z całym zapalem i poświęceniem chwycił za pług i rozpoczął orkę, Bóg - jakby przekreślił wszystko i z oracza uczynił kalekę. Nie pierwsze takie w historii wydarzenie i nie ostatnie! Jaka próba wiary dla wielu!

A jak o. Bernard przyjął krzyż choroby, która tak nieoczekiwanie przekreśliła dopiero co rozpoczętą działalność duszpasterską? Dla człowieka czynu, o dalekosiężnych planach - a takim on był - to, co zaszło, było strasliwym ciosem. Napisał później do swojej siostry, Amaty, zakonnicy: *Nic gorszego, jak być skazanym na próżniactwo i bezczynność, widzieć się niedolegą i niezdara!* Ale ten głęboko wierzący kapłan i zakonnik wiedział, jak się należy obchodzić z krzyżem, który zsyła Opatrzność. Bez buntu, bez wymówek, bez rozpaczliwych błagań o uzdrowienie, poddał się woli Bożej. Napisał w swoich notatkach: *Chwała za wszystko Bogu. Tak Bóg chce, wobec tego i ja tak chcę!*

Oczywiście przełożeni zakonni nie pozostawili o. Łubieńskiego jego tragicznemu losowi. Od pierwszej chwili sięgnęli po praktykowane wówczas leczenie tego rodzaju chorób, na które zapadł ich współbrat. I to dało wyniki. Paraliż częściowo ustąpił. Gdy pacjent przyszedł jako tako do siebie, prowincjał wysłał go do znanego w Austrii kurortu Baden, na kąpiele błotne. Po roku pojechał tam po raz drugi. W wyniku tych różnych zabiegów leczniczych zaczął lepiej chodzić, wspierając się jednak na lasce. I to było wszystko, co mogła dla niego zrobić ówczesna medycyna.

Jeszcze w tym samym 1886 r. wrócił o. Bernard do Mościsk. Wrócił jako kaleka, ale nie załamał się psychicznie, nie stał się zgorzkniały i nie porzucił planów na przyszłość. Wręcz przeciwnie. Rozsadzała go wprost energia. Za żadne skarby nie chciał być emerytem, wygrzewającym krzesło w którymś z klasztorów. Chciał być nadal misjonarzem!; kulawym, bo kulawym, ale misjonarzem!

W czasie swojej choroby wiele przemyślał, wiele spraw przemodlił, wiele lepiej zrozumiał. Nauczył się cierpliwości, pokory, budowania na woli Bożej, nie na własnych planach. To wszystko zaczęło teraz owocować w jego działalności i to do tego stopnia, że powoli zaczął nawet chwalić własne kalectwo - jak św. Paweł, który kiedyś pisał do Koryntian: *Ilekroć niedomagam, tylekroć jestem mocny!* (2 Kor 12,10).

Każdy rozumie, że o. Łubieński wolałby być zdrowym. Woleliby i przełożeni. Oni też wysłali go na dalsze kuracje. W 1888 r. odwiedził Busko-Zdrój, w 1890 był w Bawarii, u głośnego wówczas nowatora w wodolecznictwie, ks. Sebastiana Kneippa. Wszystko to niewiele jednak

pomogło. Grono przyjaciół o. Bernarda modliło się w pewnym sanktuarium o cud pełnego powrotu do zdrowia dla niego. On sam przyłączył się do tych modłów w przekonaniu, że całkowite wyzdrowienie pozwoli mu pracować i więcej i lepiej. Ale właśnie w czasie tych nagabywań nieba, o. Łubieński usłyszał w sercu jakby głos: *Zdaj się na Boga! Niech się dzieje Jego wola!*

O. Bernard nie powrócił w pełni do zdrowia. Kalectwo spowodowało kilkakrotnie niebezpieczne upadki, zakończone na szczęście tylko potłuczeniami, ale bez złamań. O. Łubieński przechorował też bolesną różę w nodze, a potem skrzep. Sporo kłopotu przysporzyła mu także przepuklina. Łatwo się zaziębiał, często zaliczał grypy, kilkakrotnie z powodu choroby musiał przerwać pracę misyjną lub rekolekcyjną. A to wszystko było tylko jakby dodatkowym garbem, który dźwigał ten człowiek, i tak dostatecznie już umęczony pracą apostolską. I gdybyż na tym był koniec! Ale Opatrzność, która lubi udręczać swoich wybrańców, dorzuciła do cierpień ciała o. Bernarda - nie za wielką wprawdzie, ale bolesną - wiązanek cierpień ducha.

Spotkał go więc przede wszystkim brak zrozumienia ze strony niektórych ludzi, akurat tych, którym ufał i którzy sterowali jego losem. I tak prowincjałowi wiedeńskiemu, ojcu Hamerle, człowiekowi prawemu, ale o zupełnie innym, niż u o. Łubieńskiego, typie temperamentu i mentalności, nie spodobała się jego spontaniczność, zapał, rzekomo nie kontrolowana gorliwość, jego manieri hrabiego, zbyt szerokie kontakty towarzyskie, a nawet nadmierna korespondencja. Z czasem wszystko się ułożyło, ale zanim to nastąpiło, o. Bernard musiał przełknąć niejedną, gorzką pigułkę. Na szczęście nie zaszkodziła mu ona duchowo. Nie robił także tragedii z krytyk, których początkowo nie szczenił jego polszczyźnie, albo z kpin, jakimi - głównie niewierzący - darzyli jego obrazowe kazania, a już szczególnie to o wiecznym potępieniu.

Jak widać, Opatrzność nie oszczędzała o. Łubieńskiego w niczym. Nie tylko - zwyczajem przyjętym w Zgromadzeniu - nosił w czasie misji i rekolekcji wielki krzyż na piersiach. On ten krzyż dźwigał także w swoim długim życiu. A dźwigał go z takim samym szacunkiem i czułością, z jaką dotykał dłonią swojego misyjnego krzyża. Ani psychiczne, ani fizyczne cierpienie, nawet to najboleśniejsze, jakim było dożywotnie kalectwo, nie złamały go.

Słaby, przemęczony, nieraz zgorączkowany, podejmował każdą pracę w winnicy Pańskiej, jakiej od niego żądano. Sam sobie tego rodzaju prace nieustannie wyszukiwał - misje, rekolekcje, konfesjonał, ambona, odwiedziny chorych lub potrzebujących. Stukając laską inwalidzką kuśtykał przez kościół do konfesjonału. Wsparty na ramieniu kościelnego windowa, stopień po stopniu, swoje kalekie ciało na ambonę. Podejmował ponadto niekończące się podróże, nieraz bardzo dalekie, nie zrezygnował z męczących odwiedzin, wizyt i rewizyt, bo przecież miał kontakt z najdostojniejszymi osobami w kraju. A gdy trafiła się wolna chwila, zasiadał przy biurku, by pisać cenne pozycje z zakresu hagiografii i kronikarstwa. A co najważniejsze: potrafił to wszystko robić pogodnie, z uśmiechem na ustach, a czasem i z trochę wisielczym humorem, szczególnie, gdy mówił o swoich chorobach. Kiedyś, utrapiony problemem z przepukliną, skwitował swoje cierpienie konkluzją: *No cóż, powoli rozpadam się na kawałki. Ale to nic! Byleby dusza przetrwała.*

Czy znaczy to, że swoją trudną drogę do świętości przeżywał o. Bernard w jakimś znieczuleniu, a może nawet w jakiejś nadprzyrodzonej euforii, gdzie to, co bolało, już nie boli, jak gdyby pod krzyż na ramionach podłożono poduszkę? Kulawy misjonarz wiedział, że takich dróg do Nieba nie ma! Powiedział to raz swojej krewnej, Annie: *Czy ty widziałaś, aby ktokolwiek uświęcał się w radości? Bo ja długo żyję, ale przyznam się, że tego nigdy w życiu nie widziałem.* Dla o. Łubieńskiego nawet „dobry” i dopasowany do pleców krzyż zawsze był krzyżem i potrafił kaleczyć! A brał go na barki nie dlatego, że mało bolał ...

Oczywiście o. Bernard wiedział, że krzyż, przyjęty z poddaniem się woli Bożej, najskuteczniej upodobia nas do Chrystusa i najszybciej uświęca; że włącza nas w Jego zbawcze dzieło odkupienia świata, a równocześnie pozwala odpokutować za własne i cudze winy; że jest świadectwem naszego dziecięcego zawierzenia Bogu i wielu innych jeszcze, wartościowych postaw duchowych. Więc nie należy przed nim uciekać, na niego się zżymać i narzekać, jak też próbować go dźwigać bez żadnego odniesienia do Boga, za przykładem niewierzących filozofów, widzących w cierpieniu tylko nieuniknione fatum.

We wspomnieniach o Łubieńskiego, dotyczących jego własnego cierpienia, nie znajdziemy tych wszystkich, pogłębionych refleksji teologicznych na temat krzyża. Zapewne rozwijał on tego rodzaju wątki w swoich licznych kazaniach. Na własny natomiast użytek wziął jedną tylko myśl, do której - w swoim pamiętniku - kilkakrotnie wraca. Myśl ta wystarczyła mu widocznie, by trwać w nieustannym dziękczynieniu za otrzymany od Boga bolesny dar krzyża. *Już będąc starym, tak tę myśl sformułował: Taką snąc była wola Boża, żebym miał nogi spętane, i żeby mnie one nie poniosły do piekła. Chwała więc i dziękczynienie niech będą Bogu za to moje kalectwo, które mi zapewniło wytrwanie w Zgromadzeniu, a przez to - jak ufam - kiedyś i koronę w niebie.*

Z życia o Bernarda wynika jednak jasno, że Bóg miał względem niego inne także zamiary, niż wyłącznie jego osobiste zbawienie. Jest i pozostanie tajemnicą Bożej Opatrzności sztuka łączenia sukcesu z nieudolnością działającego. Widać to dobrze w życiu wielu świętych. Widać i w dziejach o Łubieńskiego. Kalectwo i częste choroby nie tylko nie umniejszyły skuteczności jego misyjnego trudu, ale wręcz przeciwnie: sprawiły, że trud ten nie poszedł na marne, wydał zadziwiająco zdrowe owoce, a jemu samemu przydał szacunku i uznania.

Kulawy misjonarz, hrabia Bernard Łubieński, stał się w polskim Kościele drugiej połowy XIX w. i w początkach wieku XX, jedną z najbardziej popularnych i fascynujących postaci. Urzekała nie tylko magia słów, które w jego ustach miały prawdziwie czarodziejską moc. Urzekała też nie tylko wiara, która spoza każdego z tych słów przebijała. W równej mierze chwycił za serce widok kalekiego, umęczonego nieraz do granic możliwości, ciała kaznodziei. Jego fizyczna niepełnosprawność była również kazaniem, i to jakże wymownym! Wielu wróciło do Boga patrząc na to, z jakim poświęceniem służył temu Bogu przegrany - zdawać by się mogło - ciałem, a przecież tak zawsze wierny, tak gotowy do poświęceń i tak wielki duchem, o. Bernard.

Chcielibyśmy, aby Kościół wyniósł tego człowieka na ołtarze, jako wzór, przede wszystkim dla tych, których w życiu przywalił krzyż i którzy nie wiedzą, jak sobie z tym Bożym darem poradzić. O. Łubieński wie, jak się to robi. I chętnie by nas wszystkich o tym pouczył!

Rozważanie 7 – Hrabia, który wybrał służbę

Powiedział Jezus, że nasze wejście do Królestwa Niebieskiego uzależnione jest od tego, jaką postawę zajmowaliśmy w życiu wobec drugiego człowieka. Nasz stosunek do bliźniego rzutuje więc bezpośrednio na jakość relacji, zachodzących pomiędzy mną a Bogiem. Dotykając człowieka, dotykam samego Jezusa.

„Wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili” (Mt 25,40). Czy o. Bernard Łubieński kochał człowieka i służył mu, czy go tylko nawracał?

Ziarno prawidłowego, zarówno ludzkiego, jak i chrześcijańskiego patrzenia na drugich, sieje w sercu dziecka najprzód własna jego rodzina. Dzieci kochane i otaczane czułością, których rodzice darzą się wzajemnie szacunkiem, miłością i wspólnie dzielą trudy życia, a przy tym mają serce dla sąsiadów i hojną rękę wobec ludzkiej biedy, rzadko wyrastają na egoistów.

O. Bernard miał szczęście cieszyć się taką właśnie rodziną. Odseparowany - siłą rzeczy, jako potomek arystokracji - od bezpośredniego kontaktu z nędzą wsi i miejskiego proletariatu, otrzymał w miejsce tego niezapomniany przykład rodziców, a ponadto bardzo poprawne wychowanie religijne, w którym szacunek dla drugiego człowieka, chrześcijańska miłość bliźniego i postawa służby wobec potrzebujących, miały swoje poczesne miejsce. Zaowocuje to w przyszłości.

Idealizmem a zarazem praktycznym zainteresowaniem się ludzką nędzą, tak materialną, jak i duchową, zachłysnął się młody Bernard po raz pierwszy dopiero w Wittem w Holandii, dokąd jako student teologii wysłany został z Anglii.

Wittem było w tamtych czasach dla redemptorystów nie tylko miejscem studiów, ale także - dla wielu z nich - ostatnią stacją przed wyjazdem na bardzo trudne misje zagraniczne w Surinamie,

w Ameryce Środkowej. Młodzi studenci, z podziwem i zazdrością, słuchali opowiadań weteranów tej misji i zazdrościli im pracy, którą pełnili.

Bernardowi także płonęło serce. Ale - jak na razie - były to tylko święte marzenia idealisty.

Pierwszą okazję do realnego spojrzenia na tragiczną nieraz sytuację ludzi biednych dała młodemu ojcu Bernardowi, wkrótce po jego święceniach, posada wikariusza w londyńskiej parafii redemptorystów w Clapham. Była to parafia na przedmieściu, w skład której wchodziło mnóstwo rodzin z miejskiej biedoty. Młody wikary z hrabiowskiej rodziny miał sporządzić jej kartotekę dla celów duszpasterskich. Wymagało to odwiedzenia poszczególnych rodzin, by zebrać potrzebne szczegóły. Jeśli ktoś sądził, że kontakt tego polskiego arystokraty z prostactwem, brudem, smrodem, materialną i moralną nędzą londyńskich slumsów, będzie dla niego szokiem, ten się zawiódł. Bernard zabrał się do swojej pracy nie tylko z zapałem, ale i z gorącym sercem. Jakby czekał na takie właśnie zaproszenie! Jego głęboka wiara i miłość bliźniego stanowiły wystarczająco silny fundament, by z niesłychaną delikatnością i taktem podejść do potrzeb ludzi, których podsunęła mu Opatrzność. Oczywiście najwięcej interesowała Bernarda duchowa nędza jego podopiecznych. Ale również ich materialne troski spędzały mu sen z powiek. Był w tym nieodrodnym synem założyciela Zgromadzenia Redemptorystów, św. Alfonsa Liguori - też arystokraty - który całe swoje życie postawił na służbę ubogim i duchowo zaniedbanym, i do takiej samej służby zobowiązał swoich współbraci.

Jak naprawdę smakuje bieda, nie ta, którą się widzi u innych, ale bieda, którą samemu trzeba znosić, dowiedział się o. Bernard Łubieński dopiero w roku 1883, gdy przybył do Mościsk. Wiemy z kronik, że razem ze swoim towarzyszem, o. Antonim Jedkiem, miał on tam początkowo do dyspozycji tylko dwie małe i wilgotne cele. Za stół służyła beczka, na której położono szerszą deskę, za posłanie wiązka słomy, rzucona na podłogę.

Wypisz, wymaluj, prawie dosłowny obraz tego, co zastał, przybywając w roku 1787 do Warszawy, św. Klemens i jego dwaj towarzysze, prekursorzy o. Bernarda w misji osiedlenia Zgromadzenia Redemptorystów w Polsce.

Co, jak co, ale takie - gorsze niż spartańskie - warunki mogły stanowić wielką próbę dla człowieka wychowanego w dobrobycie, a ostatnio przyzwyczajonego w Anglii do skromności wprawdzie, ale nie do dziadostwa. Ale Bernard, hrabia i arystokrata, nie był zaszokowany, ani sfrustrowany. Z pogodą i spokojem obejmował ubóstwo pierwszej placówki, na jaką skierowała go Opatrzność. Placówki, o której tyle marzył, i której założeniu poświęcił tyle trudu. Oczywiście materialna sytuacja klasztoru w Mościskach uległa wkrótce poprawie. Ale ubóstwo było jej kartą wizytową jeszcze długo. Nie było to jednak problemem dla o. Bernarda. Jego troską i przedmiotem zainteresowania stali się tamtejsi ludzie. Zdążył ich pokochać już od pierwszego spotkania a razem z nimi i tę przysłowiową galicyjską biedę, która go z tymi ludźmi dodatkowo związała. Świadczy to bez wątpienia o jego dobrym i wrażliwym sercu, które zawsze umiało zapomnieć o sobie tam, gdzie szło o dobro innych. W Mościskach, on, hrabia, człowiek wykształcony, odcytany, obyty w wielkim świecie, przyjaciel tylu dostojników kościelnych i świeckich, stał się pokornym sługą wiejskiej biedoty, poświęcał tym ludziom czas, zdrowie, talent i troskę. Nigdy - jednym słowem - nie poskarżył się na społeczną degradację, jakiej dobrowolnie stał się ofiarą. Było mu z nią dobrze. Pokochał ludzi tych stron i pracę dla nich. Tam chciałby być kiedyś pochowany.

Gdy został przełożonym w Mościskach, przyjął na mieszkanie i do pracy kalekę, Tomasza Matusza, i zajął się jego potrzebami materialnymi i duchowymi. Przeniesiony w roku 1918 do Krakowa zabrał tam ze sobą swojego podopiecznego i dbał o niego aż do jego śmierci. Nie wiem, który z przełożonych zakonnych może się poszczycić podobnym gestem prawdziwie ewangelicznej miłości.

W czasie pierwszej wojny światowej Mościska - leżące akurat w pasie działań wojskowych i przechodzące kolejno od Austriaków do Rosjan i znowu do Austriaków - przeżywały ciężkie chwile. Doświadczył ich również klasztor. Dla o. Łubieńskiego, który pozostał przez cały czas na

placówce, niekiedy z jednym tylko współbratem, był to czas ofiarnej i bardzo uciążliwej służby dla wszystkich potrzebujących.

W kościele od rana do nocy konfesjonały były obleżone. Ponadto trzeba było śpieszyć z posługą miłości do kilkunastu okolicznych szpitali wojskowych. Doszła do tego przez jakiś czas pełna, duszpasterska obsługa parafii Mościska, którą zarówno proboszcz jak i wikarzy musieli opuścić.

O. Bernard dwoił się i troił, by podołać wszystkim tym zadaniom, które uważał - po prostu - za swój kapłański obowiązek, i od których - mimo podeszłego wieku i słabego zdrowia - nigdy się nie dyspensował.

Mościska zapamiętały o. Bernardowi w sposób szczególny jedno zdarzenie, które miało miejsce w tym czasie, w związku z grasującą w całej okolicy zarazą.

Otóż, gdy w czerwcu 1915 r. wojska austriackie przepędziły ze wschodniej Galicji Rosjan, w miejsce byłego okupanta wtargnęła epidemia cholery. W ciągu pół roku zmarło na nią, w niewielkich przecież Mościskach 300 osób. Reszta drżała o swój los. Wówczas o. Łubieński, podówczas rektor tamtejszego klasztoru, urządził pokutną procesję, którą sam poprowadził, kuśtykając o lasce ponad 2 km. Przy kaplicy św. Michała, która była celem pielgrzymki, wygłosił płomienne kazanie i na jego zakończenie nieoczekiwanie ofiarował Bogu samego siebie jako ofiarę przebłągalną, gotów umrzeć nawet w tej chwili, byle inni ocaleli.

Nie wiemy, jak Bóg spojrział na ten heroiczny akt miłości bliźniego, dokonany przez swego sługę? Ale jest faktem, że od tego dnia nikt już nie umarł w Mościskach na cholere.

Gotowość do poświęcenia się dla drugich była u o. Bernarda czymś zwyczajnym. Można by na ten temat długo mówić. Mile uderza, ile serca, zainteresowania i czasu potrafił ten hrabia ofiarować ówczesnemu proletariatu: robotnikom, wieśniakom, dziewczynom zatrudnionym na służbie.

Można by sądzić, że jako wybitny misjonarz i rozchwytywany kaznodzieja, o. Łubieński przedkładał pracę w wielkich miastach oraz dla inteligencji i arystokracji. Nic podobnego. Ileż rekolekcji, ileż misji parafialnych, ileż konferencji wygłosił on właśnie dla biedoty. Bo też dla tego człowieka dusza magnata, czy dusza chłopca, były w tej samej cenie. A serce, serce tego prawdziwego redemptorysty ciągnęło go raczej ku najbiedniejszym i najbardziej opuszczonym.

W czasie rekolekcji dla robotników w Poznaniu, nabożeństwa i nauki zaczynał o. Bernard bardzo wcześnie, bo już o 4 rano, by uczestnicy mogli zdążyć do pracy. A wieczorem spotkania kończył o 23.

Podczas misji w Żegocinie, gdy wieczorem wszyscy siedzieli już przy kolacji, przyszła wiadomość, że właśnie umiera ktoś, kto nie korzystał z misji. O. Łubieński wstał natychmiast od stołu i w trzaskający mróz udał się do konającego, by go pojednać z Bogiem.

Warto pamiętać i o tym, ile czasu i trudu poświęcił nasz kulawy hrabia, by stworzyć stałą bazę pomocy, zarówno materialnej, jak i duchowej, przynajmniej dla niektórych grup ludzi potrzebujących. To on przecież skierował na drogę pracy charytatywnej nad upadłymi dziewczętami szlachciankę Marię Karłowską, głośną później założycielkę Sióstr od Opatrzności Bożej (Pasterki). On także przez całe lata wspierał duchowo Marię Wilczyńską, w jej - jakże potrzebnej - akcji ochronek dla biednych, wiejskich dzieci. Ten człowiek miał naprawdę wielkie serce. I nie chował go pod korcem!

Była jeszcze jedna kategoria ludzi, dla której to serce czuło jakby słabość. To osoby poświęcone Bogu: kapłani, seminarzyści, zakonnice i zakonnicy. Dla nich miał on zawsze czas!

Chory - nie chory, umęczony misjami, zajęty troską o dom, którego przez 15 lat był przełożonym, zawsze dał się namówić na rekolekcje dla osób tej kategorii. Już wspominaliśmy tu cyfry, ale powtórzmy: 208 serii kilkudniowych rekolekcji zamkniętych dla księży, 51 dla kleryków, 119 dla zakonnice i 30 dla zakonników.

Oznaczało to każdorazowo nie tylko konieczność wygłaszania wielu konferencji, ale i siedzenia godzinami w konfesjonale oraz rozstrzygania wielu - nieraz skomplikowanych problemów powołania. Choć o. Łubieński znany był powszechnie jako surowy i bardzo wymagający kierownik duchowy, zdecydowany wróg przeciętności i minimalizmu, jego słuchacze i penitenci nie brali mu tego za złe. Owszem, na ogół zachowali dla niego, nieraz aż do śmierci, cześć, zyczliwość i wdzięczność. Wielu powiększyło grono jego najbliższych przyjaciół! Pod szorstkim czasem dotknięciem wyczuwali miłość.

Ta miłość nie miała w sobie nic z sentymentu, tkliwości, czy głaskania po głowie. Hrabia Łubieński umiał zawsze zachować dystans i nie spoufalął się z pierwszym lepszym. Ale otaczający go ludzie czuli instynktownie, że ten, wstrząsający sumieniami kaznodzieja, ich kocha! A jeżeli ich straszy Sądem Boskim, to dlatego, że drży o los każdego z nich, jak matka drży przed nieszczęściem, które może zagrozić jej dziecku. Wszyscy wiedzieli, że są przez tego człowieka brani bardzo poważnie, cenieni wysoko, że leży mu na sercu ich dobro, i że gotów jest on dać wszystko z siebie, byle im nieba przychylić.

I za to go kochano! I to zjednywało mu przyjaciół!

Tę usługą dobroć o. Bernarda, która podbija serca, dostrzeżono już wtedy, gdy jako młody kapłan pracował w Anglii. Kronikarz klasztoru w Clapham, gdzie Łubieński stawiał pierwsze kroki w swojej karierze, nie zawahał się napisać, w związku z jego wyjazdem do Polski, takich słów: „Był on bardzo lubiany przez każdego członka wspólnoty”. Taką samą, pochlebną opinię, umieścił on i w oficjalnych aktach klasztoru. Również bezpośredni przełożony o. Bernarda w tamtym czasie, angielski prowincjał o. Coffin, wyznał: „Wyjazd tego zakonnika do Polski będzie dla Prowincji angielskiej ogromną stratą. O. Łubieński był kimś, kto nie odstraszał, ale pociągał”.

A przez swoją gotowość bezinteresownego służenia każdemu z potrzebujących, zyskiwał sobie przyjaciół. A miał tych przyjaciół w życiu bardzo dużo.

Do ich grona zaliczyć trzeba najprzód najwyższych rangą dostojników kościelnych w Polsce.

Wyliczmy choćby tylko niektórych. A więc w Krakowie: ks. biskup i kardynał Albin Dunajewski, później biskup i kardynał Jan Puzyna, wreszcie książę biskup i kardynał Adam Sapieha.

W Warszawie o. Bernard pozostawał w bardzo przyjacielskich kontaktach z arcybiskupem Wincentym Popielem i jego następcą arcybiskupem i kardynałem Aleksandrem Kakowskim.

Jego bliscy znajomi i przyjaciele ze Lwowa to arcybiskup Bolesław Twardowski i arcybiskup obrządku greckokatolickiego Andrzej Szeptycki.

W zażyłej przyjaźni z o. Bernardem byli także prawie wszyscy, współcześni mu, biskupi polscy. Kiedy czyta się długą litanie ich nazwisk, nazwisk, z których większość przeszła chlubnie do historii, ogarnia zazdrość. Jakim człowiekiem musiał być ten Łubieński, że potrafił związać ze sobą tylu dostojników kościelnych, rzadko skłonnych do wylewności i pochwał, szczególnie gdy chodzi o zakonnika? Przyjaźnią płaci się za lojalność, ofiarną służbę i serce. O. Bernard szanował Pasterzy Kościoła, nie podrywał nigdy ich autorytetu, zawsze gotów był do usługi, a pogodne usposobienie, którym się odznaczał, jednało mu serca otaczających go ludzi. Wszystkich ludzi. Zarówno hierarchów i arystokratów, jak i wiejskiego czy wielkomiejskiego plebsu.

O. Łubieński był z urodzenia arystokratą, przyzwyczajonym do tego, by mu służyli i spełniano jego zachcianki. Zapatrzywszy się jednak w Chrystusa zrozumiał, że jako Jego uczeń i naśladowca pożegnać się musi z jaśniepaństwem i wejść na drogę służby. Wszedł na nią bez ociągania i pozostał jej wierny przez całe swoje, długie i pracowite życie. Nigdy, nawet w posuniętej starości, schorowany i kaleki, nie żądał dla siebie żadnych zwolnień z przepisów reguły. Chciał dzielić los innych. Takim go zapamiętano.

O. Bernard nie zmienił się po śmierci. Jest równie dobry dziś, jak i wczoraj. Zyskał tylko więcej możliwości czynienia dobra, niż to mógł zrobić za życia.

Miejmy więc odwagę zapukać do jego dobrego serca, gdy ciężko i źle, gdy krzyż zanadto daje się we znaki, gdy nieszczęście rzuca nagle na ziemię nas lub naszych bliskich, gdy - przede wszystkim - grozi nam utrata tego, co jedynie ważne, bo wieczne! Dajmy naszemu kulawemu misjonarzowi szansę, by interwencją swoją mógł i on udowodnić wszystkim, jakim dobrym Ojcem jest Bóg i jak bardzo nas kocha!

Rozważanie 8 - Postawiłem na Maryję

„Postawiłem wszystko na Maryję” - z takim hasłem szedł przez życie Prymas trudnych polskich czasów, chlubnej pamięci ks. kardynał Stefan Wyszyński.

Nie był on pierwszym, który oparcie się o Maryję wziął za swoją dewizę. Zrobiło to już przed nim wielu świętych i wielkich ludzi Kościoła. Był wśród nich także i człowiek, nad którego życiem zatrzymujemy się od szeregu tygodni, o. Bernard Łubieński.

Namalować - choćby najpiękniej - obraz jego życia, bez mocnego podkreślenia nabożeństwa do Matki Najświętszej, którym się odznaczał, to obraz ten zafałszować, owszem: skłamać! Był to bowiem wielki czciciel Maryi.

Nabożeństwo do Świętej Bożej Rodzicielki wyniósł z własnego domu. To przede wszystkim matka, Adelajda z Łempickich, była tutaj tą dobrą wróżką, która w sercu wszystkich swoich dzieci wszczepiała głęboką pobożność, która w polskim wydaniu nosiła zawsze rys i koloryt maryjny.

Dziadek i cioce, w których rezydencjach spędzał mały Bernard nieraz całe miesiące, a gdzie takie praktyki pobożne, jak codzienne odmawianie różańca, należały do porządku dziennego, utwierdzały tylko w duszy chłopca to, w co wywianował go własny, rodzinny dom. Już zresztą samo imię chrzcielne, które nosił: „Bernard”, dawało mu za patrona jednego z największych czcicieli Maryi, jakich zna Kościół. Starożytni łacinnicy mówili: „nomen – omen”. „Twoje imię - to twój los”. Panicz Bernas wchodził więc w życie pod dobrą gwiazdą, a do tego i z wcale nie skąpym zasobem przeżyć i przyzwyczajęń religijnych, wśród których nabożeństwo do Matki Najświętszej zajmowało poczesne miejsce.

Nie roztrwonił nigdy tej spuścizny. Wręcz przeciwnie: wspaniale ją rozwinął. Wysłany w roku 1858 do kolegium w Ushaw w Anglii dla odbycia studiów gimnazjalnych, spotkał tam, w osobie dyrektora tego zakładu ks. Karola Newsham, wielkiego czciciela Maryi i Najświętszego Sakramentu. Ten prawdziwie święty kapłan dbał usilnie o to, by religijne idee, którymi sam żył, podbiły serca także jego wychowanków. A ponieważ uważał, że wymowniejszymi od niego samego będą książki o Maryi i Eucharystii, wymagał, by wychowankowie je nabyli.

O. Bernard napisał o tym tak w swoich pamiętnikach: „Zaledwie przybyłem do Ushaw, musiałem sobie kupić - a było to moje pierwsze kupno w życiu - Uwielbienia Maryi i Nawiedzenia Najświętszego Sakramentu, autorstwa św. Alfonsa Liguori”.

Lektura pierwszej z tych książek poszerzyła z pewnością stosunkowo wąski zakres wiedzy o Matce Najświętszej zdobyty w dziecięcych latach w domu. Pogłębiła też u Bernarda nabożeństwo do Matki Chrystusa i ufność w Jej orędownictwo.

Na ten od dawna przygotowany grunt religijności maryjnej padła, niby iskra podpalająca serce, lektura dziełka błogosławionego Ludwika Grignon de Montfort, o prawdziwym nabożeństwie do Najświętszej Maryi Panny. Zgodnie z duchem i zaleceniem tej książki, Bernard - wówczas student ósmej klasy gimnazjum - oddał się w niewolę Matce Najświętszej. Od tej pory mnożyły się też jego praktyki maryjne. Zapisał się do kółka różańcowego, z żarliwym nabożeństwem obchodził święta Matki Boskiej, a modlitwa „Zdrowaś Maryjo” stała się ulubionym i często na ustach goszczącym pacierzem młodego studenta. W 1864 r. Bernard wstąpił do nowicjatu redemptorystów, do zgromadzenia zakonnego, które - zgodnie z myślą i w duchu swojego założyciela, św. Alfonsa Liguori - uważa nabożeństwo do Matki Najświętszej za jeden ze

swoich fundamentalnych filarów. Maryjne nastawienie chłopca nie było więc tu narażone na uszczerbek. Przeciwnie: znalazło doskonałą okazję do rozwoju.

Historia świętych uczy, że wielu czcicieli Matki Bożej koncentrowało swoją maryjną pobożność bądź to wokół określonego wizerunku, a więc obrazu, bądź jakiegoś przedmiotu, wiążącego nas z Nią, np. różańca, szkaplerza, czy Cudownego Medalika, bądź wreszcie wokół którejś z tajemnic Jej życia. Tak to już bowiem u nas ludzi jest, że na zabarwienie naszej pobożności, w tym i pobożności maryjnej, nie jeden raz większy wpływ mają oczy i serce, niż refleksja teologiczna.

Młody redemptorysta Łubieński miał wkrótce przekonać się o tym na samym sobie. Dotychczas kochał on po prostu Maryję, nie wiążąc jednak swojej miłości ku Niej z niczym, podpadającym pod zmysły.

Wkrótce miało się to jednak zmienić. Bernard zakochał się w pewnym obrazie, który odtąd stał się dla niego codzienną najprostszą drogą ku Maryi. A doszło do tego tak.

W 1866 r. papież Pius IX przekazał redemptorystom pewną, bardzo starą ikonę, która długi czas uchodziła za zaginioną, ale właśnie się znalazła. Ikona przedstawiała Maryję z Dzieciątkiem na ręku i nosiła miano: Matki Bożej Nieustającej Pomocy.

Przekazując ten obraz do rzymskiego kościoła redemptorystów, papież dołączył do daru życzenie: „Rozpowszechniajcie ten wizerunek Maryi po całym świecie”.

Redemptoryści potraktowali bardzo poważnie otrzymane polecenie. To głównie dzięki ich staraniom kult Matki Bożej Nieustającej Pomocy rozszerzył się zadziwiająco szybko w Kościele.

Jeszcze w tym samym roku 1866, w którym czcigodna ikona zagościła w rzymskiej świątyni Zgromadzenia Redemptorystów, rektor domu nowicjatu w Bishop Eton w Anglii, w którym właśnie przebywał Bernard Łubieński, przywiózł jej autentyczną, czyli oficjalnie uwierzytelnioną, kopię i umieścił ją w kaplicy domowej swego klasztoru.

Młody nowicjusz z Polski z miejsca rozkochał się w obrazie. Potrafił godzinami wpatrywać się w smagłą twarz Madonny o orientalnych rysach, a odczytywanie głębokiej, teologicznej treści obrazu rozpalało jego - łatwe do wzruszeń - serce, czcią oraz miłością ku Jezusowi i Maryi. Koledzy nowicjusze reagowali podobnie. Wkrótce nastąpił w tym nowicjacie prawdziwy wybuch nabożeństwa do Matki Bożej Nieustającej Pomocy. Wymodlono bowiem przed Jej obrazem cudowne uzdrowienie ciągle chorującego wykładowcy filozofii o. Franciszka Halla. Dla Bernarda Łubieńskiego był to niebieski znak: możesz bezpiecznie postawić na Maryję, szczególnie tę, czczoną pod wezwaniem Matki Nieustającej Pomocy.

Pracując później - już po otrzymaniu święceń kapłańskich - na szeregu misji ludowych, prowadzonych w Anglii, był więc o. Bernard gorącym propagatorem tego kultu maryjnego, zabiegał, by do kościołów sprowadzono z Rzymu kopie ikony Matki Bożej Nieustającej Pomocy, przede wszystkim zaś - wraz z innymi redemptorystami - zakładał bractwa, żyjące duchem tego nabożeństwa. W 1879 r., po dwóch latach istnienia takiego bractwa w Clapham, w Londynie, które prowadził o. Łubieński, liczyło ono aż 1022 członków.

Mówiliśmy już, że przed definitywnym wyjazdem do Polski, bawił o. Bernard przez krótki czas w Rzymie. Dało mu to okazję polecenia nowej placówki, powstającej w ojczyźnie, nie tylko papieżowi i wysokim dostojnikom kościelnym, ale przede wszystkim Matce Nieustającej Pomocy w Jej cudami słynącej ikonie w tamtejszym kościele redemptorystów. Wierną kopię tej ikony zdobył także dla Polski. Uroczysta instalacja przywiezionego wkrótce obrazu odbyła się w Mościskach 8 września 1883 r. Poprzedziły ją trzydniowe modlitwy, wyjaśniające teologiczną treść ikony oraz sens nowego, związanego z nią nabożeństwa. Mościczanie przyjęli z entuzjazmem cudowny obraz i umieścili go w głównym ołtarzu swojego kościoła. Wkrótce też we wszystkich domach miasteczka były już jego drukowane kopie.

Warto tu może dodać, że obraz Matki Bożej Nieustającej Pomocy w Mościskach przetrwał szczęśliwie w tamtejszym kościele obie ostatnie, straszne wojny światowe, ciągle otaczany

nieśląbną czią ludu, który w Maryi szukał pomocy i ratunku, szczególnie w chwilach zagrożenia.

I dopiero w roku 1945, gdy w ramach zarządzonego przez Sowietów przymusowego wysiedlenia, ojcowie redemptoryści zmuszeni byli opuścić klasztor w Mościskach i udać się do Polski, łaskami słynący obraz Maryi z ich kościoła podzielił los wygnańców. Przewieziono go początkowo do klasztoru naszego zgromadzenia w Krakowie, a po jakimś czasie do kaplicy seminaryjnej redemptorystów w Tuchowie. Do Mościsk powrócił dopiero w r. 1996, zaś 8 września 2001 został uroczystie ozdobiony papieskimi koronami.

Ale powróćmy do naszego ojca Bernarda. Wkrótce po rozpoczęciu przez niego pracy w Mościskach, w r. 1885 spadła na niego zagrażająca życiu choroba. Omal cudem uniknął śmierci, pozostając jednak już do końca życia częściowo sparaliżowanym. Swoje ocalenie od śmierci przypisał interwencji Maryi. Jako akt wdzięczności przetłumaczył na język polski i wydał drukiem nowennę do Matki Bożej Nieustającej Pomocy, napisaną przez francuskiego redemptorystę, Saint Omera. Nie sądźmy - oczywiście - że cudowny obraz Maryi, o którym mówimy, do tego stopnia zauroczył o. Bernarda, że wyniósł go on ponad Osobę, którą ów obraz przedstawia. Ten człowiek miał za sobą dobrze przestudiowaną teologię. Wiedział, kogo czcimy pod różnymi wezwaniami i w tyłu łaskami słynących wizerunkach, jakie zna chrześcijańska pobożność.

Kochał więc Maryję - nie ikonę Maryi. Ale tytuł: „Matka Nieustającej Pomocy”, jaki nosi jedna z tych ikon, był mu szczególnie drogi, a przeto i ikonę, daną Kościołowi pod tym właśnie wezwaniem, stawiał wyżej niż inne i otaczał serdeczną czią. Ten obraz Madonny, jak rzadko który w chrześcijaństwie, nie jest związany z jakimś krajem, narodem, regionem czy wydarzeniem historycznym. Przedstawiona na nim Maryja jest Matką wszystkich ludzi na całym świecie. Wszystkim gotowa pomagać. Wszystkich ratować, i to nie raz tylko, ale zawsze. Dana przez Boga całemu światu, chce być każdemu z nas Matką. Maryję, Matkę Nieustającej Pomocy, postawił więc o. Bernard, zaraz po Bogu i po Jezusie, w centrum własnego życia religijnego i osobistej pobożności. Polecał Jej wszystkie swoje sprawy, szczególnie te trudne i najbardziej bolesne - a widzieliśmy już, że mu ich w życiu nie brakowało. Nie była to jednak nigdy prośba, by pozbyć się gniożącego barki krzyża. Bernard wiedział, że do nieba idzie się zawsze z jakimś tam kamykiem w bucie. Modlił się więc o siłę, by swój krzyż nieść wytrwale i godnie, podobnie jak Maryja niosła kiedyś przez życie swoje, naznaczone cierpieniem, powołanie i by po życiu, wypełnionym służbą Bogu i ludziom, dojść tam, gdzie oczekuje go jego niebieska Matka.

Ale z tym osobistym nabożeństwem do Maryi o. Łubieński nie afiszował się zbyt, choć wiedzieli o nim wszyscy, patrząc, jak ciągle szepce „zdrowaśki” i nie wypuszcza z rąk różańca. Z ogromnym natomiast zapalem i zaangażowaniem związał on z Matką Nieustającej Pomocy swoją działalność apostołską. Tutaj postawił on naprawdę wszystko na Maryję!

Wyraziło się to najpierw w zewnętrznym rytuale prowadzonych przez niego misji i rekolekcji. Wiadomo: wszystkie te ćwiczenia religijne mają zawsze jakąś swoją, zewnętrzną oprawę, posługują się pewnymi znakami, symbolami, korzystają z pomocy rzeczy widzialnych, wręcz dotykalnych, dla stworzenia właściwego klimatu do głoszonych nauk. A więc procesje, gesty pokuty czy pojednania, krzyż misyjny, wystawiony Przenajświętszy Sakrament itp. Do tego zewnętrznego ceremoniału, z którego pełną garścią korzystają do dzisiaj redemptoryści w czasie swoich prac apostołskich, dołączył o. Bernard obecność ikony pod wezwaniem Matki Bożej Nieustającej Pomocy. Zabiegał o to, by w czasie każdej z prac apostołskich obraz ten zajmował honorowe miejsce, na ołtarzu lub obok ambony. Zachęcał proboszczów, aby sprowadzili do swoich kościołów jego wierną kopię. Sam sprowadził z Rzymu 70 takich kopii, a za jego przykładem, a nie wykluczone, że i za namową, przybyło ich do Polski do roku 1914 około 500.

O. Bernard wiedział, oczywiście, że sam obraz, choćby nie wiem jak czcigodny, nie działa magicznie. Ale wiedział także, że u ludzi serce idzie często dopiero za oczami. I że Maryja, pod wezwaniem Nieustającej Pomocy jakoś łatwiej i skuteczniej porywa te ludzkie oczy ku sobie i ku swojemu Synowi, niż inne Jej wizerunki. Doświadczył tego sam dziesiątki razy. Doświadczyli i inni. Niech więc ten Jej obraz będzie czczony i w polskim Kościele, jak czczony jest na całym

świecie. Niech mówi wszystkim o nieustannej trosce Maryi o nas. O naszych ziemskich potrzebach, ale przede wszystkim o naszym wiecznym „jutro”! Niech zachęca do modlitwy! Niech prowadzi do Jezusa i do Boga.

W swoich, jakże licznych kazaniach maryjnych, rozwinął w ten sposób o. Łubieński przed swoimi słuchaczami całą, bogatą treść nauki Kościoła o Matce Najświętszej, raz akcentując mocniej ten, raz inny jej aspekt. Robił to w sposób teologicznie bardzo poprawny, choć w duchu i słownictwie swojego, XIX wieku. Nacisk w tych naukach położył jednak nie na teorii, ale na konieczności serdecznego związania się z Maryją w życiu, by za Jej przyczyną otrzymać łaskę wytrwałości w dobrym i wieczne zbawienie.

Piszą kronikarze, że kazania o. Łubieńskiego o Maryi pełne były takiej wiary, takiego wewnętrznego żaru i pewności w Jej wstawiennictwo, że wzruszały wszystkich i rzucały na kolana nawet zatwardziały grzeszników. Często w czasie tych kazań miały miejsce wprost cudowne nawrócenia. Bo też to, co ten człowiek mówił, ukazywało coś więcej niż tylko dobrze opanowane rzemiosło kaznodziejskie czy utalentowane aktorstwo. O. Bernard otwierał po prostu przed słuchaczami własne, kochające Maryję, serce. Mówił o tym, w co sam wierzył, czego doświadczył i o czym był wewnętrznie dogłębnie przekonany. Zarażał własnym entuzjazmem, rzucał ludzi na kolana przed Tą, przed którą on sam, przez całe życie, z największą czcią i miłością klęczał.

Oczywiście kazania o. Łubieńskiego uchylały tylko szczątkowo i na chwilę tajemnicę jego osobistej pobożności i czci względem Maryi. Podobnie jak i te niezliczone konferencje dla kapłanów i osób zakonnych, w których uczył słuchaczy, jak należy czcić Maryję i głosić Jej chwałę. Pełna prawda o dziecięcym stosunku tego człowieka do Matki Najświętszej, szczególnie tej pod wezwaniem Nieustającej Pomocy, pozostanie jego słodką osobistą tajemnicą.

Ale już na podstawie okruczeń, które znamy, bo je skrzętnie zebrano i zapisano, możemy bez wahania powiedzieć, że w osobie o. Bernarda Łubieńskiego ma Polska jednego z wielkich czcicieli Maryi oraz niestrudzonego herolda i apostoła Jej czci!

Nie ma już wśród nas o. Bernarda. Ale w klasztorze, w którym spędził ostatnie lata swego życia, ale w kościele, w którym tyle się modlił i pracował, pozostało coś, co było kiedyś wielką miłością jego życia. Pozostał obraz Matki Bożej Nieustającej Pomocy.

Czcijmy tę szacowną ikonę, tak, jak on ją przez całe swoje życie czcił i kochał.

Równocześnie prosimy Maryję, by i tamten Jej wielki herold sprzed lat, którego od tylu tygodni tutaj wspominamy, mógł znowu do nas powrócić. Już nie jako hrabia Łubieński. Moda na hrabiów minęła! Nawet nie jako porywający tłumy swoimi kazaniami misjonarz. Ale jako wyniesiony na ołtarze, błogosławiony o. Bernard Łubieński, sługa Maryi i orędownik nas wszystkich przed Bogiem.

Rozważanie 9 – Nadzwyczajny w swojej zwyczajności

Przez 8 kolejnych tygodni patrzyliśmy z tego miejsca na postać Sługi Bożego, o. Bernarda Łubieńskiego.

Śledziliśmy jego życie od pierwszych kroków dziecka, które mając zaledwie 9 lat już postanawia być kapłanem, interesowała nas jego wieloraka działalność apostolska, którą tak wspaniale rozwinął on w wieku dojrzałym, i której pozostał wierny aż do śmierci, staliśmy zamyśleni wobec cierpienia, jakie spokojnie i godnie znosił przez wiele, wiele lat, podziwialiśmy jego dobroć i ducha służby względem każdego człowieka oraz serdeczną miłość, którą darzył Matkę Najświętszą, szczególnie pod wezwaniem Nieustającej Pomocy.

Wyznajmy jednak, że nasze patrzenie na o. Bernarda przez wszystkie 8 minionych tygodni nie było całkiem bezinteresowne i bez ukrytego, ale wciąż dającego o sobie znać, podtekstu praktycznego. Śledziliśmy bowiem jego życie pod specjalnym kątem widzenia, mianowicie w perspektywie jego - bliskiej już być może - beatyfikacji.

Podświadomie, nie zdając sobie nawet z tego sprawy, przymierzaliśmy tego człowieka do wyżyn ołtarza, na którym chcemy go zobaczyć. Bezwiednie pytaliśmy: Jest on godny tego zaszczytu? Wystarczająco wielki? Prawdziwie święty? Przyciąga serca, czy je raczej odstrasza? Rozumie naszą ludzką nędzę? Pochyli się nad potrzebującymi, czy też pozostaną mu oni obojętni? Ufam, że to, co na temat o. Łubieńskiego zostało już tu powiedziane, daje jakąś odpowiedź na tego rodzaju pytania, rozwiewa obawy, rodzi nadzieję. Naszego kandydata na ołtarze nie musimy się wstydzić. Jest godny, prawy, Boży, jest kimś, kto człowieka rozumie, kocha i chętnie pospieszy mu z pomocą, bo takim był przez całe swoje życie. Zasługuje na to, by stanąć w rzędzie tych Bożych wybrańców, których Kościół czci w sposób szczególny!

Może warto jednak w ten ostatni wieczór, kończący nasze spotkania z o. Łubieńskim, spojrzeć raz jeszcze na tego człowieka, ale już takim spojrzeniem, które nie wikła się w szczegóły, nie tonie w morzu faktów i zdarzeń, ale próbuje zarysować - w jakiejś syntezie - jego sylwetkę, sylwetkę kogoś z tego świata, ale równocześnie i nie z tego, bo wypełnionego Bogiem, który dla o. Bernarda był wszystkim!

Zacznijmy od człowieka ziemi, tego, którego można było widzieć, dotknąć, spotkać na ulicy czy w kościele, a którego postać pozostała na nie najlepszych fotografiach tamtych czasów, w listach, kronikach i sprawozdaniach.

Świętość bazuje przecież na człowieczeństwie. A więc: wysoki, szczupły, o donośnym, czystym głosie, którym cieszył się do starości. Nie Adonis, ale po męsku przystojny, o regularnych rysach twarzy i żywych oczach. Odkąd zmogło go kalectwo, lekko pochylony do przodu i z nieodłączną laską w ręku. Przedtem prosty jak świeca.

Jest to człowiek jak najbardziej normalny i psychicznie zrównoważony. Nie ekscentryk, nie dziwak, nie typ rozegzaltowany, skłonny do fanatyzmu, ciasny lub pełen fobii, uprzedzeń lub pretensji. Sumienie ma delikatne, ale nie skrupulatne. Odziedziczył usposobienie pogodne i tym pozyskuje sobie otoczenie. Lubi żartować, często z samego siebie.

Nie zaciągnął w życiu zgubnych nałogów. Jeszcze jako kleryk i student teologii w Wittem, w Holandii, o mało nie nabrał nawyku palenia cygar. Robiło to bowiem całe jego otoczenie. Ale szybko zorientował się, że nie tędy droga i skończył z wonnym dymkiem. Nie należał do tych, co to po każdorazowym pobycie za granicą przywożą do kraju jedną wadę więcej.

Jako misjonarz zażywał tabakę, ówczesne panaceum na wszystkie nieżyty nosa i gardła, „lekarstwo” powszechne zarówno wśród plebsu, jak na salonach dostojników świeckich i duchownych, z papieżem Leonem XIII na czele. Z alkoholem nie miał o. Bernard nigdy problemów, choć zaprzysiężonym abstynentem nie był. Drogowskazem były mu w tym względzie wskazówki zakonnej reguły. Koligacje z wysokimi sferami i pełnione obowiązki zmuszały go często do uczestniczenia w wystawnych obiadach lub kolacjach.

O. Bernard nie uważał tego za niegodną zakonnika stratę czasu. W czasie takich przyjęć załatwiał wielokrotnie mnóstwo ważnych spraw, dotyczących Zgromadzenia lub działalności apostołskiej. Nie wszyscy to rozumieli. Gdy był kiedyś w Rzymie, jeden ze współbraci zarzucił mu nawet, że tych przyjęć jest trochę za dużo, jak na redemptorystę.

Nie wiem, co odpowiedział na to o. Łubieński, który zresztą nie ruszał się nigdy z domu bez pozwolenia przełożonych. Ale przypominam sobie kapitalną replikę, jaką dała św. Teresa z Avila, wielka mistyczka, a dziś i Doktor Kościoła, komuś, kto zastając ją raz przy jedzeniu kuropatwy, wyraził zdziwienie, jak coś takiego może robić osoba obdarzona ekstazami? Teresa odpowiedziała: Kiedy ekstaza to ekstaza, a kiedy kuropatwa to kuropatwa!

Łubieński urodził się hrabią. Nie jest to ani jego zasługa, ani wina. Hrabiosstwo tkwiło w nim głęboko i nie raz dawało znać o sobie. W zasadzie nie korzystał nigdy z tego tytułu, chyba, że zaszły nadzwyczajne okoliczności.

I tak w czasie wojny nie raz ocalał klasztor w Mościskach przed rekwizycją ze strony wojsk rosyjskich, ujawniając dowódcy swoje arystokratyczne pochodzenie i znajomości z wysokimi sferami w Rosji. Innym razem wykorzystał swoje pochodzenie, by zebrany na rekolekcjach

ziemianom wygarnąć całą prawdę. Na końcu przeprosił ich i powiedział: „Darujcie, ale ja sam śmierzę hrabią, więc znam dobrze wasze życie”. W Zgromadzeniu Redemptorystów, wspólnocie typu raczej proletariackiego i o proletariackich manierach, hrabiowskie pochodzenie o. Bernarda nie ułatwiało mu na pewno życia. Padały docinki i uszczypliwe słowa. Ale on znosił to z pogodą, bagatelizując zaistniałe incydenty. Był głęboko przekonany, że dobre wychowanie, kulturalny sposób bycia i wyczulenie na pewne wartości, wszystko to, co otrzymał w swojej arystokratycznej rodzinie, jest wielkim skarbem, za który zawsze powinien Bogu dziękować. Inni zdobywają te cechy długim i mozolnym wysiłkiem. On wziął wszystko za darmo. Nie chełpił się tym oczywiście. Ale też nie zamierzał tego kryć przed innymi.

Pomimo swojej „inności” rodowej, świadomy powołania, które obrał, poświęcił o. Bernard mnóstwo czasu i troski ubogim i wydziedziczonym. Stał się apostołem nie tyle elit społecznych, co gminu: chłopów i miejskiego proletariatu. Pokazał życiem, że wysokie urodzenie nie przeszkadza wcale, by całym sercem iść za Chrystusem, który będąc Bogiem unżył samego siebie, obrał ubóstwo i prostotę i stał się Sługą wszystkich (por. Flp 2,7-8).

Cóż jeszcze powiedzieć można o ojcu Łubieńskim jako człowieku „tej ziemi”?

Uderzała wszystkich jego pracowitość. Założyciel Zgromadzenia Redemptorystów, św. Alfons Liguori, zobowiązał się osobnym ślubem do nie tracenia ani chwili czasu. Kto wie, czy i o. Bernard nie poszedł jego śladem? Wszystko by na to wskazywało!

Jest on też godnym podziwu w dźwiganium swego kalectwa przez długie 48 lat. Nie tylko, że nie poddał się zniechęceniu, nie uciekł w wieczne leczenie się i nieróbstwo, ale właśnie jako kaleka rozwinął najbardziej szeroką i owocną działalność.

Nie mówiliśmy tu dotąd nic o patriotyzmie ojca Bernarda. A człowiek ten kochał Polskę szczerze i gorąco. Wszędzie, gdzie tylko miał okazję, budził wśród rodaków świadomość tożsamości narodowej, kult tradycji i umiłowanie własnego kraju. Uczył poznawać jego historię, wykorzeniał narodowe wady, zachęcał do czci polskich świętych. Ułożył i opublikował nawet oryginalną Litanię za Ojczyznę. Przy całym sentymencie dla Polski i dumy, że jest Polakiem, nie był nigdy o. Bernard ciasnym szowinistą. Był otwarty na problemy sąsiadujących z nami krajów, owszem, całego świata. Szczególnie Rosji poświęcał wiele czasu i uwagi. Rad byłby z całej duszy tam pracować. Próbował - choć bezskutecznie - przeszczepić do tego kraju Zgromadzenie Redemptorystów, wiedząc, jak bardzo potrzebni są tamtejszym katolikom duszpasterze i misjonarze.

Utrzymywał poprawne kontakty z prawosławiem, a wśród greckokatolickich hierarchów miał niejednego, oddanego przyjaciela.

A więc w konkluzji: o. Bernard to ktoś, kto już z naturalnego punktu widzenia może pociągać, owszem fascynować i zachęcać do naśladowania.

Czy człowiek ten nie posiadał żadnych wad?

O. Łubieński pierwszy wyśmiałby się z takiego przypuszczenia. Miał on swoje braki i przywary, i doskonale zdawał sobie z nich sprawę, przynajmniej w wieku dojrzałym, gdy życie nauczyło go krytycznego spojrzenia na siebie, a asceza zapanowała nad temperamentem. Toteż w swoich wspomnieniach, pisanych już w starości, powiedział bez ogródek, że jako młody człowiek był lekkomyślny, zbyt kierował się fantazją, z jednej skrajności wpadał w drugą, zapalny - jak wszyscy Łubieńscy - i jak oni radykalny w podejmowaniu decyzji. W niektórych postawach czy zachowaniach zanadto dochodziło do głosu jego wielkopaństwo i arystokratyczne maniery, co było źle widziane przez otoczenie.

Wyliczył też o. Bernard z całą szczerością w swoich wspomnieniach ujemne sądy o sobie, jakie wyraził ten czy ów z jego przełożonych.

I tak o. Prowincjał Hamerle, zimny i pedantyczny Austriak, uważał początkowo o. Łubieńskiego za nieco rozpieszczone dziecko, żyjące iluzjami. Raziła go jego aktywność i zbyt liczne kontakty, które ten zakonnik utrzymywał. Poleciał jednak przełożonemu w Mościskach, by go cierpliwie znosił, ponieważ i tak nie uda się mu go zmienić.

Z czasem sam o. Hamerle doszedł do trochę innych wniosków. Ale jeszcze w 1904 roku, gdy o. Bernard liczył już sobie 58 wiosen życia, inny prowincjał austriacki uważał za wskazane powiedzieć mu w czasie wizytacji: „Sie sind zu subiektiv in Ihren Ansichten” („Jest ojciec za subiektywny w swoich poglądach”).

Nie był więc o. Łubieński aniołem w ludzkim ciele. Jak każdy z nas borykać się musiał z wadami własnego charakteru, z próżnością, zbytnią ambicją, niekonsekwencją i budowaniem na sobie. Podjął tę walkę i wygrał ją. Książe Adam kardynał Sapieha, metropolita krakowski, tak napisał o tym w roku 1946: „Życiorys o. Bernarda zasługuje na uwagę szczególnie nas Polaków, ludzi często słabej woli, gdyż pokazuje, do czego można dojść świadomą, usilną i konsekwentną pracą nad sobą”.

Czas, byśmy - przynajmniej krótko - rzucili okiem i na tę drugą stronę osobowości ojca Łubieńskiego, tę, którą stwarza w człowieku nie samo urodzenie i naturalne czynniki rządzące jego rozwojem, ale współpraca z Łaską i zauroczenie życiem nadprzyrodzonym.

O chrześcijaństwie Sługi Bożego Bernarda, o jego życiu zakonnym i kapłańskim mówiliśmy już sobie z tego miejsca sporo. Wróćmy jednak jeszcze na chwilę do tego tematu, pamiętając, że wszystko, czym ten człowiek był i co w nim dziś podziwiamy, cała jego działalność apostołska, cała radość z powołania, całe jego naznaczone krzyżem życie i cała zdolność do ofiarnej służby bliźnim, wynikały z poznania i umiłowania Boga oraz z bezwarunkowego podporządkowania się Jego Woli.

Wiemy już, że wiarę w Boga i miłość ku Niemu wyniósł o. Bernard z rodzinnego domu. Nie znajdziemy też w jego życiu żadnych kryzysów religijnych, żadnych załamań, czy zrad. Po prostu wierność Bogu miał jakby we krwi. Była ona jakąś drugą jego naturą.

Bóg był dla o. Łubieńskiego najprzód największym autorytetem. Jego, objawione nam Słowo, to dla tego człowieka jedynie pewny i bezpieczny drogowskaz w życiu. Jego dobroć i obietnice rodziły w nim bezgraniczną ufność. Ale i Jego groźby brał o. Bernard jak najbardziej poważnie.

Przy tym wszystkim o. Łubieński, przez całe swoje długie życie, Boga - po prostu - kochał.

Oddechem tej miłości, który utrzymywał go przy życiu i w ciągłej świeżości, była modlitwa. O. Bernard pokochał ją już w dzieciństwie i nie porzucił do śmierci. Był na pewno jednym z wielkich bogomódlców w Kościele. Ale nie bigot ani dewot!

Współcześni zapamiętali go jako żarliwego czciciela Eucharystii i Matki Najświętszej. Na misjach i rekolekcjach uczył modlitwy i zachęcał do niej. Jego własny przykład był tu najwymowniejszym zaproszeniem.

Wielką miłością o. Bernarda po Bogu było Zgromadzenie Redemptorystów, którego - mając lat 20 - stał się członkiem. Nigdy nie żałował kroku, który zrobił wstępując do zakonu. Nigdy nie doświadczył poważniejszych pokus przeciw powołaniu. Chociaż miał różnych przełożonych, szanował każdego z nich i z motywów religijnych wszystkim okazywał ochotne posłuszeństwo. Nie znaczyło to, że był człowiekiem bez inicjatywy i własnego zdania, bezwolnie przesuwany z kąta w kąt. Wielokrotnie to on właśnie inspirował przełożonych do różnych dzieł, pożytecznych dla Kościoła i Zgromadzenia, choćby takich, jak przeszczepienie Zgromadzenia Redemptorystów do Polski, własny nowicjat a później seminarium, różne nowe fundacje w kraju, czy pewne - dostosowane do okoliczności - zmiany w stylu prac apostołskich, w niektórych regionach.

Przełożeni - ze swej strony - nie mieli z o. Bernardem specjalnych problemów. Był w Zgromadzeniu podziwiany, szanowany, bardzo popularny i lubiany. Chlubiono się nim.

Gdy chodzi o miłość bliźniego, która jest probierzem autentycznej pobożności, to egzamin z tego trudnego przedmiotu zdał o. Łubieński celująco. Z pochodzenia kuszony do elitaryzmu i wybiórczości, z motywów religijnych stał się wszystkim dla wszystkich. Dawał siebie po równi: bogatym i ubogim. Sercem był bliżej tych ostatnich. Najmniej zabiegał o siebie, co u człowieka graniczy już z heroizmem.

Jeszcze gdy żył, ludzie widzieli w ojcu Bernardzie świętego. Wiedział o tym i stroił sobie z tego tytułu żarty. Sam uważał siebie za grzesznika, którego przygarnęło miłosierdzie Boże. To nie był tylko kaznodziejski frazes, gdy nieraz powtarzał, że boi się o swoje wieczne zbawienie. Znamy podobne trwogi z życiorysów wielu Bożych wybrańców!

Szereg udowodnionych przypadków każe poważnie pytać, czy o. Bernard nie otrzymał daru przewidywania przyszłości? Szereg innych stwierdza, że jego modlitwa wypraszała nadzwyczajne łaski, co ma miejsce do dzisiaj. Ale spektakularnych objawień, ekstaz czy innych nadprzyrodzonych zjawisk w życiu o. Łubieńskiego nie stwierdzono. Szedł on ku Bogu raczej drogą zwyczajnej nadzwyczajności.

Ponadto w całym swoim zachowaniu, zarówno tym zewnętrznym, rzucającym się w oczy, jak i w swoim życiu religijnym, którego głębię raczej przeczuwamy, był to człowiek bez pozy i udawania.

Autentyczny w każdym calu. I może dlatego tak nam bliski. Czy to jeszcze za mało, by się z taką postacią bliżej zapoznać? By poszukać w niej czegoś, co mogłoby ubogacić i moje życie?

Modlimy się dziś - jak modliliśmy się przez minione 8 tygodni - o beatyfikację o. Bernarda Łubieńskiego. Być może wyprosimy u Boga tę łaskę. Ale pamiętajmy:

Beatyfikacja to nie tylko uroczyste i oficjalne zapewnienie ze strony Urzędu Nauczycielskiego Kościoła, że człowiek, wynoszony na ołtarze jest już w chwale nieba, i że z tego powodu wolno mu oddawać cześć publiczną, przede wszystkim w Liturgii mszalnej i brewiarzowej, oraz uciekać się do niego, jako naszego pośrednika u Boga.

Akt beatyfikacji to równocześnie ukazanie go światu, jako wzoru do naśladowania. Żyjąc bowiem na ziemi, szedł on drogą wskazań Ewangelii i w stopniu heroicznym wypełniał to, czego od niego żądało jego chrześcijańskie powołanie.

Kościół stawia taką gorejącą pochodnię na świeczniku nie tylko po to, by ją podziwiać lub w jej blasku paradować. Tym mniej, by od nowego błogosławionego coś wyzebrać. Święci są dla nas przede wszystkim modelem życia chrześcijańskiego. Są wzorem, który należy naśladować!

Jeżeli więc o. Bernard Łubieński wyniesiony zostanie - w co ufamy - na ołtarze, to otrzymamy w nim jeden przykład więcej, na który patrząc możemy kształtować naszą własną drogę ku Bogu.

A od niego samego usłyszymy zaproszenie. Nie rozkaz, nie przymus! Współczesny człowiek nie zrobi niczego pod presją! Otwarty jest natomiast na oferty. Pyta nas więc o. Bernard nieśmiało: Może zechcielibyście zaprosić we własne życie tego starego, kulawego misjonarza, którego wam tu przez wiele dni ukazywano, a który dziś nie jest już ani stary, ani kulawy, bo Boży, a zaprosić po to, by po prostu był przy was?

Pomyślmy, czy nie byłoby rozsądnym przyjąć takie zaproszenie? Bo jest to doświadczony i bezpieczny przewodnik. Jest to przyjaciel, który nie zawiedzie. A przede wszystkim jest to ktoś, komu może wreszcie uda się skusić nas leniwych na wyższe niż dotychczas drogi!

KU BEATYFIKACJI

Sługa Boży o. Bernard Łubieński już za życia cieszył się opinią świętości. Podjęcie starań o jego beatyfikację opóźniła druga wojna światowa, zniszczenie klasztoru redemptorystów w Warszawie i śmierć jego trzydziestu członków. Po odpowiednich przygotowaniach rozpoczęto jednak w 1961 r. proces beatyfikacyjny Sługi Bożego, którego różne etapy, zwłaszcza poszukiwanie, przepisywanie i badanie licznych pism ojca Bernarda, trwały do 1998 r., czyli do uznania przez Kongregację Spraw Kanonizacyjnych w Rzymie ważności i prawomocności zasadniczego procesu informacyjnego, przeprowadzonego w archidiecezji warszawskiej, gdzie ojciec Bernard żył, działał i gdzie zmarł 10 września 1933 r.

Pod koniec stycznia 2005 r. została przekazana do Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych tzw. „Positio super vita, virtutibus et fama sanctitatis Servi Dei”. Zawiera ona kompletną dokumentację sprawy beatyfikacji o. Łubieńskiego. Dokumentacja ta obejmuje obszerny wybór zeznań świadków z procesu informacyjnego naszego Sługi Bożego, opracowaną naukowo biografię o. Bernarda, opinię specjalnej Komisji Historycznej i cenzorów teologów, badających publikacje o. Łubieńskiego oraz pomniejsze opracowania, np. historię procesu beatyfikacyjnego, aktualność sprawy o. Bernarda, wykaz przebadanych archiwów i bibliotek, kompletną bibliografię i omówienie dwunastu cnót Sługi Bożego, zgodnie z wymaganiami procesu beatyfikacyjnego. Do dokumentacji dołączono kilka fotografii, szereg map i wykresów.

12 kwietnia 2005 r. odbyło się w Rzymie zebranie konsultorów historyków tej Kongregacji, którzy pozytywnie ocenili i zaakceptowali dokumentację od strony historycznej.

Następnym etapem procesu będzie zebranie konsultorów teologów tej samej Kongregacji, którzy będą badać sprawę od strony teologicznej. Po jego zakończeniu cały materiał zostanie przedstawiony do oceny kardynałom i biskupom, którzy są członkami Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych. Po zebraniu kardynałów i biskupów członków Kongregacji, kardynał prefekt poinformuje papieża o wnioskach i ewentualnych uwagach członków tego zebrania. Ostateczną decyzję w odniesieniu do dekretu o heroicznosci cnót o. Bernarda Łubieńskiego podejmie osobiście Ojciec Święty. W przypadku pozytywnej decyzji zostanie przygotowany odnośny dekret o heroicznosci cnót, który następnie zostanie opublikowany w obecności Papieża.

Do beatyfikacji potrzebne jest jeszcze stwierdzenie przynajmniej jednego, udokumentowanego cudu, działanego przez Boga za przyczyną o. Bernarda. Łaski Boże za wstawiennictwem świętych i Sług Bożych otrzymuje się jednak przez pełną wiary i ufności oraz wytrwałą modlitwę. Do pomnażania wiary i ufności w taką modlitwę mogą służyć znaki zewnętrzne związane z osobą Sługi Bożego, na przykład jego relikwie, podobizny czyli obrazy i tym podobne rzeczy.

W 1982 roku dokonano ekshumacji śmiertelnych szczątków o. Łubieńskiego, które spoczywały na cmentarzu wolskim w Warszawie. Przeniesiono je wtedy do kościoła redemptorystów pw. św. Klemensa Hofbauera przy ul. Karolkowej, gdzie obecnie znajdują się w marmurowym sarkofagu pod chórem. W ostatnich latach podejmowane są różne starania, by zapoznać jak najszersze społeczeństwo polskie z tą piękną postacią, by szerzyć jego kult i prosić Boga, aby wsławił swego sługę cudami, a następnie dekretem Stolicy Apostolskiej wyniósł na ołtarze. Przybliżaniu życia i duchowości o. Łubieńskiego służy biuletyn „Apostoł Polski”, który jest wydawany kilka razy w roku przez postulację sprawy beatyfikacji.

Redemptoryści, starający się o beatyfikację o. Bernarda Łubieńskiego, zwracają się do wiernych z prośbą o modlitwę, aby Bóg przez cud działający za przyczyną tego Sługi Bożego zechciał potwierdzić jego świętość, która byłaby wzorem dla wszystkich dzieci Bożych, zwłaszcza dla pracujących w dziele nowej ewangelizacji.

O potrzebne informacje, biuletyn i obrazki z modlitwą o beatyfikację można zwracać się do wicepostulatora sprawy beatyfikacji: O. Sławomir Pawłowicz, ul. Wysoka 1, 33-170 Tuchów, e-mail: o.bernard@cssr.pl. Jego także należy zawiadamiać o otrzymanych łaskach.

MODLITWA O UPROSZENIE ŁASK ZA PRZYCZYNĄ SŁUGI BOŻEGO O. BERNARDA ŁUBIEŃSKIEGO

Boże, który Sługę Twego, Bernarda, obdarzyłeś apostolskim zapalem i mocą ducha w niesieniu swego krzyża, spraw prosimy, aby ten, który dla prowadzenia ludzi do Królestwa Prawdy i Miłości oddał całe swoje życie, doznawał czci świętych wśród wiernych Twojego Kościoła i był naszym

orędownikiem u Ciebie. Udziel nam za jego przyczyną łaski ..., której obecnie szczególnie potrzebujemy. Prosimy Cię o to przez Chrystusa Pana naszego. Amen.

Sługo Boży, Bernardzie, Apostole Chrystusowego Odkupienia, przyczyn się za nami.